



TADEUSZ KAHL

Kraków, dnia 16 lipca 1945 r., sędzia grodzki dr Stanisław Żmuda, wybrany do prac Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce na wniosek, przy współudziale oraz w obecności członka Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, podprokuratora dr. Wincentego Jarosińskiego, przesłuchał na zasadzie art. 254, w związku z art. 107 i 115 kpk, w charakterze świadka byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu mgr. Tadeusza Kahla nr 66 707. Świadek, po uprzedzeniu go o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania, zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Tadeusz Kahl
Data i miejsce urodzenia	27 lipca 1908 r. w Krakowie
Imiona rodziców	Eugeniusz i Maria Karolina z Pakiesów
Zawód	adwokat
Wyznanie	rzymskokatolickie
Narodowość i przynależność państwowa	polska
Miejsce zamieszkania przed aresztowaniem	Kraków, ul. Pędzichów 11
Obecne miejsce zamieszkania	Kraków, ul. Dietla 13
Stan cywilny	żonaty

W nocy z 30. na 31. października 1941 r. przybyło do mego mieszkania przy ul. Pędzichów 11 trzech gestapowców i, po zidentyfikowaniu mnie, polecieli mi udać się ze sobą. Gestapowcy oświadczyli mojej żonie, że za trzy dni wrócę do domu. Po wyjściu z bramy polecieli mi wsiąść do auta i zawieźli do budynku gestapo mieszczącego się w Krakowie przy ul. Pomorskiej 2. Tam wprowadzono mnie do jednego z pokoi na III piętrze, gdzie zastałem, znanego mi osobiście, sędziego dr. Zygmunta Rogowskiego. Po krótkim czasie gestapowcy przeszli do

drugiego pokoju, dokąd następnie przeprowadzili sędziego Rogowskiego. Po pewnej chwili znowu wyprowadzili go w towarzystwie jego siostrzeńca Jana Zamorskiego. Miał on ślady dotkliwego pobicia i nogi skute kajdanami. Mnie również polecono wyjść z pokoju i, bez przesłuchania, tym samym autem, co Rogowskiego, przewieziono na Montelupich. Zamorski pojechał innym autem. Na Montelupich zaprowadzono nas, tzn. mnie i Rogowskiego, do biura, gdzie w sposób brutalny przeprowadzono u nas rewizję osobistą, zabierając wszystko, prócz chusteczek i grzebieni. Po rewizji odprowadzono nas ok. godz. 2.00 w nocy do cel na II piętrze, mnie do celi 142, dr. Rogowskiego do celi 145. W chwili wpuszczania mnie do celi zaświecono światło tylko na moment, a po zamknięciu drzwi zaraz je zgaszono. Przez ten moment zauważyłem w celi, między śpiącymi znajomego, inż. Gołogórskiego.

Następnego dnia wywołano mnie dwukrotnie z celi, przed południem, do podpisania złożonego w biurze depozytu, zaś po południu sprowadzono mnie na dziedziniec, gdzie zauważyłem również Rogowskiego. Tam postawiono nas obu przy aucie i referent cywilny zrobił kilka zdjęć leicowych. W drodze powrotnej szedłem za owym referentem i Rogowskim, którzy ze sobą rozmawiali. Posłuchałem z rozmowy tylko fragment po niemiecku: „Radzę panu, niech pan swojego siostrzeńca nie bierze w obronę” (Zamorski jest siostrzeńcem Rogowskiego). Po chwili przystąpiłem do owego cywila – referenta z zapytaniem, czy ja jestem również aresztowany w związku z Rogowskim. Na to otrzymałem odpowiedź bardzo dobitnie wymawianą: „Dass kann ich ihnen nicht sagen”. Od tego czasu nie interesowano się mną przez całe cztery miesiące.

W celi 142 zastałem następujące osoby: inż. Aleksandra Bugajskiego, który pełnił funkcję komendanta celi; emerytowanego ppłk. Stręka; ks. Wojciecha Biernata, proboszcza z Krzyżanowic pod Bochnią; urzędnika kolejowego Simsena; Józefa Krawczyka i innych, których nazwisk sobie w tej chwili nie przypominam. Trafiłem na szczęśliwą celę, gdyż więźniowie znajdujący się w niej zajmowali się wynoszeniem kubłów z korytarza całego skrzydła i wtedy mogli kontaktować się z innymi celami, a nadto szóstka, która wykonywała tę pracę, otrzymywała często podwójną porcję zupy. Tą drogą, w dwa dni po aresztowaniu, otrzymałem gryps od brata owego Zamorskiego, a mojego przyjaciela, który siedział na tym samym piętrze. Z tego grypsu dowiedziałem się, że jestem wmieszany w sprawę zabójstwa sędziego Wasilewskiego. W przeciągu czterech najbliższych dni przybyło do celi dwóch nowych więźniów, a byli to: emerytowany inspektor szkolny z Katowic Kobyliński i kameduła z Bieleń, brat Damian, zaś w międzyczasie wypuszczono inż. Gołogórskiego. Na początku

listopada dowiedzieliśmy się, że w więzieniu zdarzyło się kilka przypadków tyfusu, w związku z czym zarządzono kwarantannę i dezynfekcję całego więzienia. Kwarantanna polegała na tym, że przez cały czas jej trwania kontakt z więźniem był zupełnie zerwany, tzn. nikogo nie wpuszczano, nikogo nie przyjmowano i nie było żadnych przesłuchań.

Dezynfekcja odbywała się w ten sposób, że odkażano kolejno po kilka cel z każdego pietra, przeprowadzając więźniów z tych cel do innych. Następnie więźniowie szli do łaźni, gdzie składali swoje ubranie do dezynfekcji gazowej, sami zaś po dokładnym usunięciu owłosienia i kąpieli, w jednym kocu udawali się do innych cel, gdzie czasami jeszcze dwa dni czekali, zanim cela właściwa będzie gotowa. Było to połączone oczywiście ze specjalną udręką, gdyż np. w celi jednoosobowej, o szerokości może 180 cm, w której były tylko cztery łoża wypełnione siennikami, umieszczono nas 18., przy czym, jak nadmieniałem, każdy posiadał tylko jeden koc, a cela opalana była bardzo słabo.

Jeśli chodzi o wyżywienie, to otrzymywaliśmy w tym czasie chleb kostkowy, zdaje się 1,2 kg na cztery osoby, rano i wieczorem litr gorącej kawy, w południe zaś litr zupy. Ponadto patronat więzienny dostarczał trzy razy na tydzień dodatki w postaci: pasty mięsnej, marmolady, sera mieszanego z zieleniną. Raz w tygodniu dostawaliśmy zamiast chleba więziennego – chleb patronacki, którego zawsze było znacznie więcej. Prócz tego – co stwierdziliśmy przez szparę w oknie – patronat przywoził worki z jedzeniem, więc np. kasza, makaron, a nawet ziemniaki (które czasami dostawaliśmy) pochodziły od społeczeństwa polskiego, gdyż więzienie poza kawą, solą i mąką, w rozpaczliwych zresztą zupach mącznych „plakatówkach”, nic nam nie dawało. Nadmieniam jeszcze, że każdy więzień przychodzący do celi otrzymywał na dole w kancelarii miskę i łyżkę. W razie braku misek używano nocników.

W ten sposób w kwarantannie, która była dwukrotnie przedłużana, minęły dwa miesiące, a w nich święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Na święta każdy otrzymał z patronatu więziennego po paczce, wagi zdaje się około dwóch kilo, i małą [paczkę] na Nowy Rok.

Na początku stycznia 1942 r. rozpoczęły się przesłuchania. Z naszej celi był wówczas przesłuchiwany brat Damian, którego szata duchowna nie uchroniła od uderzeń i kopañ. Poza tym z opowiadań kolegów z celi dowiedziałem się, że większość z nich, przy wcześniejszych przesłuchaniach, była dotkliwie bita. Np. inż. Bugajski był bity do nieprzytomności, a gdy po dojściu do siebie odmówił przyjęcia cygara z rąk gestapowca, ten włożył mu to cygaro, żarzące się, ogniem do ust. Również bity przy przesłuchaniu był wspomniany wyżej ks. Wojciech Biernat.

Na początku lutego 1942 r. wyszło zarządzenie, zezwalające więźniom na odbieranie raz na tydzień paczek żywnościowych. Trwało to jednak tylko do 14 kwietnia, po czym paczki można było otrzymywać jedynie na zapotrzebowanie. Było to jednak bardzo trudne. Paczki były oczywiście przed wydaniem rewidowane i niejednokrotnie przychodziły częściowo opróżnione. Nie wiadomo tylko było, czy robili to SS-mani, czy też tzw. *arbeiterzy*.

W przypadku tych ostatnich, było takich na każdym piętrze po sześciu, nie licząc fryzjera. Obowiązkiem ich było donoszenie i rozdział jedzenia, czyszczenie ustępów i korytarzy, i inne drobne posługi, które im zarząd więzienia zlecał. Więźniowie ci, jeżeli byli godnymi Polakami, potrafili oddawać współwięźniom ogromne przysługi, gdyż mając możliwość przez cały dzień znajdować się na korytarzu, mogli kontaktować się z celami i w ten sposób wzajemnie porozumiewać [ze sobą] więźniów, a ponadto w innych drobniejszych sprawach mogli też przynosić im ulgę. Często jednak nie odpowiadali swojemu zadaniu i stawali się narzędziem szykan w stosunku do osadzonych. I tak na przykład wyciągali kosztowne nieraz części garderoby od więźniów za kawałek chleba lub trochę zupy.

W pamięci utkwiał mi komendant celi *Arbeiterów* Zbigniew Szarłowski, pochodzący z Jarosławia i tam mieszkający, który gorliwością swą przewyższał strażników niemieckich i np. przy rewizjach kazał ściągać buty, skarpetki, a znając z własnego doświadczenia sposoby więzienne, był wyjątkowo niebezpieczny. Ponadto na każdym kroku szykanował i bił więźniów, specjalną nienawiść żywiąc do inteligencji. W stosunku do mnie na przykład, błędnie widocznie poinformowany, z dziwną zjadliwością nazywał mnie „profesorkiem” i w czasie wynoszenia kubłów niejednokrotnie bił mnie laską, czy też drągami, z którym się rzadko rozstawał. Nie wyjdzie mi nigdy z pamięci obraz, kiedy tenże przepędzając z celi transportowej do łaźni nagich więźniów, przeznaczonych do transportu do Oświęcimia, bił ich jakimś harapem czy też gumą. Osobnik ten został na początku 1942 r. wypuszczony na wolność.

Jeśli chodzi o spacer, to przez cały ten czas mieliśmy dwa, trwające ok. 20 min, przy czym urządzano nam dość męczącą gimnastykę. W czasie pierwszego spaceru zdołałem między więźniami z sąsiednich cel rozpoznać szereg znajomych, jak np. sędziego Łazarskiego, sędziego Szyposza, adwokata Augustynka, kompozytora Adama Kopycińskiego i innych.

Moje przesłuchanie, pierwsze i ostatnie, miało miejsce dopiero 27 i 28 lutego 1942 r. Odkryło się ono zupełnie spokojnie w celi więziennej na Montelupich, przy czym traktowano mnie zupełnie poprawnie. Dano mi nawet papierosa. Również przy tym przesłuchaniu oficjalnie nie

postawiono mi żadnego zarzutu, a całe badanie, zresztą ogromnie nieudolnie przeprowadzone, skończyło się na zadawaniu mi pytań: czy i skąd znam Zamorskiego, Rogowskiego, sędziego Wasilewskiego i dwóch innych. Nadto padały stereotypowe pytania: czy jestem wrogo usposobiony do narodu niemieckiego, czy czytałem ulotki, słuchałem radia, należałem do tajnych organizacji. Wszystkim pytaniom zaprzeczyłem. Również zapytano mnie w związku z moim nazwiskiem o brzmieniu niemieckim, czy nie jestem Niemcem. Odpowiedziałem na to, że jak nazwisko wskazuje musiałem mieć co najmniej jakichś przodków Niemców, jednak którzy i kiedy nimi byli, o tym nic mi wiadomo – ja natomiast byłem, jestem i pozostanę Polakiem. Po spisaniu protokołu dano mi go do odczytania i podpisania.

Do połowy lutego więzienie stopniowo pustoszało, gdyż prawie co drugi dzień wychodził transport do Oświęcimia, a ponadto kilkunastu ludzi wyszło na wolność. Nowych więźniów na Montelupich w tym czasie nie umieszczano, więc na każdym piętrze po kilkanaście cel zostało opróżnionych, a więźniów pomieszczono w celach pozostałych. Dopiero w połowie lutego zaczęły się nowe aresztowania. Przede wszystkim ogromną masę więźniów dostarczyła 22 lutego 1942 r. sprawa dr Ernestyny Michalikowej. W samej naszej celi umieszczono pięciu więźniów związanych z tą sprawą, a byli to hr. Dzieduszycki, Zdziechowski, kupiec poznański Jagielski, lekarz dentysta Porański, nauczyciel z Jedlicz Firlej i tamtejszy proboszcz, którego nazwiska nie pamiętam. Wszyscy oni po przeprowadzeniu sprawy w przeciągu dwóch miesięcy zostali przewiezieni do Oświęcimia i, o ile mi wiadomo, poza Firlejem i owym proboszczem, wszyscy zginęli.

Ważną dla więźniów sprawą było palenie papierosów, które w zasadzie było bezwzględnie zakazane. Starali się więc oni za wszelką cenę zdobyć cokolwiek do palenia prosząc o to przede wszystkim robotników, a poza tym wyłapując, przy każdej sposobności wyjścia na korytarz, niedopałki. Z braku prawdziwego tytoniu palono liście cebuli, a nawet skrobane drzewo. Ponieważ więźniowie nie mieli oczywiście żadnych zapalek ani zapalniczek, które zostały im odebrane, przeto przy zapalaniu posługiwano się hubką ze spalonych szmat, a iskrę wykrzesywano kawałkiem szkła z kamienia, który za drogą opłatą czasami nabywano u więźniów z celi robotniczej. Ci pracownicy, w zamian za użyczane produkty, żądali odzieży w takim na przykład stosunku, że za całe ubranie dawano kilka porcji chleba, a za buty kilka papierosów. Więźniom w celi nie wolno było poza garderobą i grzebieniem nic posiadać. Zakazane było w szczególności posiadanie noża, ołówka i wszelkich rzeczy szklanych. Zamiast noży ostrzyliśmy łyżki na kamieniu lub na betonie przy piecu; łyżki te, z powodu

ich naostrzenia, czasami też nam zabierano. Ponieważ nie wolno było mieć w celi żadnych flaszek, przeto jeśli ktoś w ambulatorium lekarskim otrzymał lekarstwo, to wlewano mu je do miski, mimo że miał je na przykład zażywać trzy razy dziennie.

Pomoc lekarska w granicach sumienności lekarzy była nawet dość wydatna. Wiele wdzięczności okazywali wszyscy więźniowi dr. Garbieniowi, który narażając się niejednokrotnie szedł więźniom na rękę. Odmienne [zachowywał się] dr Nadolski z Warszawy. Więźniowie chętnie chodzili do lekarza, ponieważ poza pomocą lekarską można tam było czasami dostać kawałek chleba, a nadto była to jedyna możliwość zdobywania dla całej celi wiadomości z zewnątrz. Każda więc cela starała się w każdym dniu badań kogoś do lekarza wysłać nawet, jeśli w celi wszyscy byli zdrowi. Władze więzienne oczywiście sprzeciwiały się temu i starały się wyłapywać tych zdrowych, którzy niepotrzebnie szli do lekarzy. Jedynie dr Nadolski ze specjalną gorliwością wskazywał tych, którzy niepotrzebnie się zgłaszali. Następnie robiono im kółka kredą na plecach i potem na korytarzu wymierzano odpowiednią ilość pałek.

O ile chodzi o bicie zdarzało się [ono] w więzieniu na każdym kroku. Jakkolwiek więźniowie starali się niczym nie narażać, to jednak ciągle na korytarzach rozbrzmiewały jęki bitych i katowanych. [Wyjątkowo wzmagало] się to w okresie, kiedy do więzienia przybyli w większej ilości Żydzi. Początkowo mieli oni swoją celę w suterenach, potem zaś umieszczano ich w różnych celach na piętrach, a nawet przez pewien czas do każdej prawie celi aryjskiej dawano jednego Żyda. W czasie apelu i każdorazowego stawania na baczność Żyd stał osobno, sam, dla odróżnienia od innych. Strażnicy wchodząc do celi zawsze się nimi specjalnie zajmowali, nigdy prawie nie odchodząc bez odpowiedniego pobicia ich. W tym czasie, kiedy ilość Żydów w więzieniu była większa, urządzano im specjalne „ćwiczenia” i tak np. kazano im z ciężkimi kamieniami w ręku biegać po podwórzu, lub też wkładając większe kawały drzewa w wyprostowane z tyłu ręce stać dłuższy czas w pozycji niezgiętej. Było to oczywiście specjalną torturą i większość z nich po niedługim czasie padała ze zmęczenia. Wtedy oczywiście kołki i laski były w robocie.

Około połowy czerwca 1942 r. przeżyli więźniowie specjalną sensację. W godzinach wieczornych, gdy już wszyscy pokładli się spać, posłyszeliśmy przez otwarte okna jakiś wzmożony ruch na dziedzińcu i głosy niemieckie: „Komm, komm, schneller”. Wnet później rozpoczęła się trwająca kilkanaście minut strzelanina, a gdy ta ustała, doszło do naszych uszu z dołu: „Frauen Zimmer”. Byliśmy wówczas przekonani, że po prostu celę za celą

wyprowadzają do rozstrzeliwania. Następnego dnia przez szparę okienną zobaczyliśmy na dole szereg leżących zwłok, które w południe wywieziono. Jak się okazało, było to „dziesiątkowanie” celi transportowej, tzn. więźniów przeznaczonych na wywóz do Oświęcimia, z tego powodu, że zauważono naruszoną kratę okienną. Podobno zapytano wówczas w tej celi, który z więźniów zna język niemiecki i wszystkich tych, którzy się zgłosili, rozstrzelano. Zostało wówczas rozstrzelanych kilkanaście osób.

W połowie 1942 r. wzmogła się pomoc żywnościowa patronatu więziennego, tak że prócz racji wyżej opisanych dostawaliśmy jeszcze czasami, w sobotę, oprócz naszej normalnej porcji chleba, kanapki, tzn. kawałki chleba z różnymi dodatkami, a nadto nawet czasami owoce. W poniedziałki, zamiast chleba więziennego, otrzymywaliśmy też chleb z patronatu, przekrawany na pół z dodatkiem sera oraz ewentualnie innymi dodatkami.

Na początku sierpnia dostałem się do celi robotniczej na pierwszym piętrze. Zaczęło mi się wtedy znacznie lepiej powodzić, bo przede wszystkim mogłem stale wysyłać do rodziny [informacje o swoich potrzebach], a więc i otrzymywałem paczki, a nadto wolno nam już było swobodnie palić, czytać książki, których pewna ilość z dawnej biblioteki więziennej była do naszej dyspozycji, grać w karty, a przede wszystkim poruszać się swobodnie po korytarzu. Praca nie była zbyt ciężka, bo do obowiązków naszych należało jedynie codzienne zmycie korytarza i ustępów, przetarcie okien i starcie kurzu, a ponadto trzy razy dziennie rozniesienie jedzenia. To jedno wymagało pewnego wysiłku, ponieważ konewka pojedyncza z jedzeniem ważyła 35 kg, a nosiło się zawsze po dwie.

W połowie września kilku spośród robotników zostało zabranych do miasta, do zwożenia węgla, do garaży SS. Pracowaliśmy cały dzień przy ul. Nowowiejskiej, przy czym pracowaliśmy dosyć spokojnie, a pilnowano nas niezbyt ostro tak, że przechodzący ulicą ludzie mogli poinformować nasze rodziny o tym i niektórzy uzyskali w ten sposób nielegalne widzenia. Pani, która zawiadomiła o tym moją żonę, spóźniła się – żona moja przyszedłszy na miejsce już mnie nie zastała. W czasie tej pracy uderzyłem się żelazną taczka w nogę i zraniłem, co spowodowało następnie miejscowe zakażenie. Po dwóch dniach, na zarządzenie lekarza, musiałem pozostać w łóżku w celi. Był wprowadzie w więzieniu pokój chorych, ale ponieważ był stale zajęty i z góry ustalano kolejkę, kto się do niego dostanie dla wypoczynku, w nagłych wypadkach chorobowych, chory musiał pozostać w celi. W czasie tej choroby wywołano mnie z celi do transportu do Oświęcimia. Zabrano nas natychmiast kilkudziesięciu

do celi transportowej w suterenach. Następnego dnia poszliśmy do dezynfekcji i strzyżenia, przy czym wszystkie nasze rzeczy zostały zdezynfekowane w bębnie parowym. Trzeciego dnia, wczesnym rankiem wydano nam depozyty, z wyjątkiem pieniędzy i depozytów cennych, kazano wszystkie rzeczy poza ubraniem, które mieliśmy na sobie, spakować, w celu odesłania ich do domu, sami zaś zostaliśmy wyprowadzeni na dziedziniec, aby załadowano nas do aut. Mimo usilnych nalegań, nie zdołałem już dostać się do lekarza, aby zmienić opatrunek. Transport liczył ok. 70 ludzi, w tym mniej więcej 20 kobiet. Załadowano nas do dwóch aut, to jest do jednego autobusu osobowego, w którym umieszczono przede wszystkim kobiety i część mężczyzn, resztę zaś do auta towarowego, w którym i ja się znalazłem. Tak przywieziono nas do Oświęcimia.

Po przybyciu do Oświęcimia zatrzymaliśmy się poza samym obozem, gdzie odłączono od nas kobiety, nas zaś samych po jakiejś godzinie, tj. już koło południa, wprowadzono do obozu. Właśnie ćwiczyła orkiestra obozowa w bloku 24., obok którego przechodziliśmy. Tam też przez okno zobaczyłem pierwszą znajomą mi twarz, muzyka Adama Kopycińskiego. Następnie zaprowadzono nas przed blok *Effektenkammer*, gdzie staliśmy około godziny, po czym zamknięto nas wszystkich w ustępie. Tam przebywaliśmy kilka godzin. Wieczorem wypuszczono nas z powrotem na dziedziniec, kazano się nam wszystkim do naga rozebrać, pozwalając zabrać ze sobą jedynie chusteczkę i szczoteczkę do zębów. Następnie odbyło się dokładne golenie i strzyżenie, po czym każdy wkładał swoje rzeczy do otrzymanego worka, do którego wrzucał jedną z trzech, otrzymanych przedtem, kartek z numerami. Następnie wykąpano nas, po czym dostaliśmy bieliznę i w tej, bosy jeszcze i bez ubrań, rozdzielono nas po blokach. Jedenastu z nas przydzielono do bloku 8a. Tam przy rozdawaniu butów, gdy prosiłem, aby mi dano trochę większe, gdyż tych drewniaków, które mi rzucono, nie mogłem ubrać, otrzymałem pierwsze uderzenie. Musiałem tedy na tych ciasnych butach poprzestać. Dano nam również drelichowe ubranie, w rozpaczliwym zresztą stanie, i czapkę. W dniu tym nic nie otrzymaliśmy do jedzenia. Następnego dnia odbyło się fotografowanie nas, badanie lekarskie i rejestracja w *Politische Abteilung*. Przy badaniu lekarskim zetknąłem się z moim przyjacielem, sędzią śledczym w Krakowie, dr. Adamem Zacharskim.

W bloku, w którym zostałem umieszczony, panował względny porządek, byliśmy tym nawet zaskoczeni. Każdy pierwszego już dnia otrzymał dość porządne łóżko (w łózkach trzypiętrowych). Na każdym łóżku były po dwa koce. Rano otrzymaliśmy już swoje porcje śniadaniowe, na razie tylko czarną kawę, gdyż chleb rozdawano wieczorem.

W tym czasie nowo napływający więźniowie nie odbywali żadnej kwarantanny, lecz natychmiast po załatwieniu formalności rejestracyjnych przeznaczani byli do pracy. Trzeciego też dnia, zaraz po apelu, całą grupę, przybyłą w ostatnich dniach (oprócz nas jeszcze transport warszawski i miechowski), bez pytania o zawody i kwalifikacje skierowano do wyładowywania ziemniaków tzw. *Kartoffelabladenkommando*. Przed wymarszem zapytano, kto zna język niemiecki. Zgłosiło się nas ok. 20. Nie zdawałem sobie początkowo sprawy, co to ma oznaczać. Następnie wyruszyliśmy na miejsce pracy odległe o jakieś dwa kilometry od obozu na tzw. rampę. Stało tam już kilkanaście wagonów ziemniaków, które więźniowie mieli wyładować i zakopcować. Podzielono wszystkich więźniów na dwie grupy, z których jednej dla odróżnienia kazano zdjąć marynarki. Nas tzn. tych, którzy znali język niemiecki oddzielono na bok, wraz z innymi podobnymi z dni poprzednich, kazano każdemu wziąć do ręki pałkę lub kawałek drąga i ustawiono z nas szpalery, nakładając na nas obowiązek popędzania więźniów noszących tragi. Nosze te były różnej wielkości, niektóre nawet tak wielkie, że można w nich było pomieścić 150 kg ziemniaków. Rozpoczęła się po chwili straszna praca. Przy wagonach widłami napełniano tragi – następnie zaś więźniowie musieli biegiem zanosić je na miejsce, kapo zaś i *Vorarbeiterzy*, w większości Niemcy, w niemiłosierny sposób popędzali, nie szczędząc bicia. Ustawiani w szpalerze poganiacze, też częściowo sumiennie (!) spełniali swoje obowiązki. Ponieważ ja się do tego nie nadawałem, przeto już tam zostałem kilka razy dotkliwie uderzony, wobec czego porzuciłem to miejsce i ustawiłem się przy wagonie, na który zawsze zwracano mniejszą uwagę. I tam jednak zostałem silnie pobity przez *Scharführera* Scheflera za to, że nie biłem innych. Po kilku godzinach więźniowie byli już tak pracą zmęczeni, że po prostu tragi wypadały im z krwawiących rąk, a sami, zwłaszcza starsi, niejednokrotnie padali. Takiego osłabionego uważano za odmawiającego pracy i zachęcano go do dalszej [roboty] takim biciem, że po chwili zwłoki wyrzucano do pobliskiego dołu. Niektórzy starali się chronić w dziurach pod drewnianą rampą, co jednak zostało zauważone i zaczęły się poszukiwania i wymierzanie kary znalezionym.

Po raz pierwszy spotkałem się tam z dość specyficznym sposobem bicia. Więźniowi kazano się nachylić, następnie zaś oprawca w postaci kapo lub jego pomocnika z całej siły i z rozmachem uderzał go nogą od obozowego krzesła, o średnicy może sześciu centymetrów, w kark, co wywoływało skutek natychmiastowy – delikwent padał. Potem uzupełniano egzekucję biciem leżącego i kopaniem. Po chwili „gotowe” już zwłoki wyrzucano do wyżej wspomnianego rowu. Więźniowie wpadali w szal ze zmęczenia i widoku tortur, a zdarzały się często wypadki, że

ścigani uciekali przed razami wprost na łańcuch strażników (*Postenkette*) i w ten sposób na oczach wszystkich ginęli od kuli mundurowego oprawcy. Wiadomo mi z opowiadań kolegów, że podobno SS-man, który wykazał się zabiciem przekraczającego łańcuch strażników więźnia, otrzymywał trzy dni urlopu. Widziałem i taki wypadek, kiedy SS-man polecił jakiemuś nowicjuszowi iść wprost przed siebie, a gdy tenże, nieobeznany widocznie zupełnie z sytuacją, wypełnił rozkaz, z chwilą przekroczenia łańcucha został przez tegoż SS-mana zastrzelony. Po wrzuceniu zwłok do rowu zaraz zbiegała się grupa więźniów i ściągła z nich lepszą odzież, [tak] że zwłoki do wieczora pozostawały już nagie.

W przerwie obiadowej otrzymaliśmy przywieziony obiad, po czym rozpoczynała się praca na nowo, jak poprzednio i trwała do wieczora. Ponieważ pierwszego dnia wyładowanie wagonów zostało wcześniej ukończone, przeto grupa, która nosiła tragi, została przydzielona do uporządkowania stogów słomy. Ponieważ pracy tej nie było zbyt wiele, robiono sobie po prostu igraszkę. Oprawcy zaganiali więźniów do pracy bijąc niemiłosiernie, mimo że dla części pracujących nie było nawet miejsca na poruszanie się przy stogu. Przed ukończeniem pracy, a raczej, gdy już ustawialiśmy się w rzędy, zajechał *Fleischwagen*, czyli auto przeznaczone do zbierania zwłok i na nie załadowano leżące nagie ciała. Widziałem na własne oczy, że niektóre jeszcze się poruszały, na co jednak nie zwracano żadnej uwagi, wrzucano na wóz i przygniatało innymi. Jeżeli nie zginął w drodze, to kończył życie w piecu krematorium. Muszę zaznaczyć, że głównie znęcano się wówczas nad więźniami narodowości żydowskiej.

W ten sposób pracowałem przez trzy dni. W międzyczasie, za pośrednictwem dr. Zacharskiego, skomunikowałem się z moim dawnym kolegą, urzędnikiem Zarządu Miejskiego w Krakowie, Stanisławem Głową, który był *Schreiberem* w bloku tyfusowym. Tenże wraz z Zacharskim obiecali mi, że zajmą się umieszczeniem mnie w jakimś dobrym komandzie. Czwartego dnia rano wyczytano mój numer, że mam zgłosić się do szpitala. Nie orientowałem się początkowo, że może to być związane z interwencją owych przyjaciół, ale jednak udało mi się po przejściu wszelkich, dręczących zresztą i połączonych z godzinami wyczekiwania, badań i kąpeli, dostać do bloku 19., szpitalnego, jako podejrzany o zarażenie tyfusem. Zaznaczam, że formalnościami związanymi z przyjęciem mnie do KB [*Krankenbau*], mimo że byłem całkiem zdrowy, byłem tak zmęczony, że naprawdę nie wyobrażałem sobie, jak człowiek prawdziwie chory może to wszystko wytrzymać.

Po przyjeździe do KB umieszczono mnie w izbie podejrzanych o tyfus. Byłem zadowolony, że mogłem swobodnie sobie poleżeć nie narażony na apele i inne zewnętrzne szykany. Sztubowym, a zarazem i pielęgniarzem w był znany mi dawniej, jeszcze jako dziecko chłopiec – Jan Pierzchała, który aresztowany został mając 16 lat. Z podziwem patrzyłem, jak chłopiec ten, z naprawdę niezwykłą takiemu wiekowi starannością i troskliwością, pielęgnował chorych, którzy, a było ich kilkudziesięciu w izbie, zwracali się do niego z większym zaufaniem niż do lekarzy. Drugiego dnia przyszedł znaczniejszy napływ chorych, tak że zdrowszych umieszczano, jako drugich, do już zajętych łóżek. W ten sposób znalazłem się wspólnie w łóżku z człowiekiem naprawdę chorym na tyfus plamisty. Na zwróconą uwagę, zapewniano mnie, że mowy o zarażeniu nie ma, ponieważ tyfusu można nabawić się tylko przez wszy, a chorzy byli przedtem zdezynfekowani. Nadmieniam jeszcze, że do rewiru zostałem przyjęty dlatego, że Głowa miał zatrudnić mnie następnie na rewirze, co jednak w praktyce możliwe było tylko tą drogą, że jako rekonwalescent miałem w pracy pomagać, po czym dopiero można było przeprowadzić moje wciągnięcie do komanda KB. Trzeciego dnia jednak ku mojemu zdziwieniu wyrzucono mnie z rewiru, jak się później okazało dlatego że zbliżała się w tym dniu „wybiórka”, tzn. sortowanie chorych i wybieranie pewnej części, niezdatnych do leczenia do gazu. Ponieważ zawsze wiązało się to z niebezpieczeństwem, zwłaszcza, że mogło wyjść na jaw, że jako zdrowy dostałem się na rewir, przeto Głowa postarał się o wykreślenie mnie z KB zanim doszło do „wybiórki”.

Wyszędłszy z KB dostałem się do bloku nr 8 i następnego dnia zostałem przydzielony do roboty. Tym razem jako rzekomy rekonwalescent przez jeden dzień pracowałem w obozie. Czułem się jeszcze niezdrow z powodu zakażonej nogi, ale mimo starań znowu zostałem skierowany do roboty poza obozem. Było to dla mnie tym bardziej męczące, że nie dostałem już tym razem butów, ale po prostu drewniane sandały bez pięt, w których poruszać się było bardzo ciężko. W ciągu kilku następnych dni zmieniałem prawie codziennie pracę i tak np. pracowałem przy budowie drogi, wodociągów, a ponadto jeszcze trzykrotnie powracałem do wyładowywania ziemniaków oraz do kopcowania. Z tego okresu specjalnie utkwił mi w głowie jeden moment, gdy ładując ziemniaki przy magazynach ziemniaczanych, niosąc tragę, szedłem boso, a droga wypadła właśnie po kamieniach przy torze kolejowym i nie można się było szybko poruszać, idący za mną SS-man szczuł mnie psem, który do krwi obgryzał mi nogi. Później zobaczyłem liczne rany na obydwu udach i łydkach.

W międzyczasie znowu za pośrednictwem wyżej wspomnianych przyjaciół rozpocząłem starania o dostanie się do kartoflarni obozowej. Zacharski skierował mnie wówczas do nieznanego mi przedtem więźnia Kazimierza Szelesta i ten z całą gorliwością i sumiennością zajął się wprowadzaniem mnie do tej pracy, którą rzeczywiście rozpocząłem w drugiej połowie października. Zaznaczam, że jak mi z ust wielu kolegów obozowych wiadomo, tenże Szelest bardzo wiele czynił ludziom dobrego i dużo więźniów wiele mu zawdzięcza. W kartoflarni obozowej pracowałem tylko kilka dni, gdyż po upływie tygodnia wybierali ochotników do kartoflarni SS, spośród których to ochotników tylko 20 z nas zostało tam przyjętych. W międzyczasie kilkunastu z kartoflarni zostało zabranych na jeden dzień do pracy przy przenoszeniu mebli w blokach SS. Ja również się tam znalazłem. Praca była bardzo ciężka, gdyż trzeba było łóżka nierozkładane i pełne szafy przenosić na przestrzeni kilkuset metrów po budowanej dopiero i bardzo nierównej drodze. Przy tej pracy zetknąłem się po raz pierwszy z więźniarkami, które zajęte były przy budowie drogi. I wówczas zdołałem ze smutkiem zauważyć, że traktowanie kobiet, w dużej części naszych rodaczek, nie było bynajmniej lepsze od [tego co doświadczały] mężczyźni. Poza popędzaniem i biciem przy ciężkiej robocie noszenia i ubijania kamieni, specjalnie utkwili mi epitety, które padały z ust kierowników lub kierowniczek robót.

Do chwili dostania się do kartoflarni SS przebywałem w bloku 8., który utkwił mi również w pamięci ze względu na zachowanie zastępcy blokowego, Polaka, górnika ze Śląska oraz *Schreibera*, podobno inteligentnego człowieka i oficera, czy też podchorążego Wojska Polskiego. Niestety ich nazwisk sobie nie przypominam. Obaj byli skończonymi łotrami, którzy na każdym kroku bili i w różny sposób znęcali się nad więźniami, a ponadto *Schreiber* nie wahał się kraść do spółki z blokowym, niemieckim łotrem. W wolny niedzielny dzień uczył nas ów *Schreiber* kłaniania się, czyli poprawnego, na tempo, zdejmowania i wkładania czapek, przy czym, gdy mu się coś nie podobało, dla własnej, sadystycznej przyjemności urządzał ćwiczenia karne, biegi itp.

Następnie zostałem przeniesiony do bloku nr 16a, gdzie umieszczone było całe komando *SS-Kartoffelnschellerei*. I ten blok cieszył się specjalną opinią. Sztubowi, w większej części Polacy, dawali się również dotkliwie we znaki. I tu odbywały się częste bicia i różnego rodzaju szykany, które zmierzały w tym wypadku do [uzyskania korzyści za pomocą] szantażu z tzw. bogatego komanda. *Schreiberem* w tym bloku był niejaki Bogdan Malinowski, syn pułkownika z Modlina. Młodzieniec ten nie ustępował bynajmniej w swych krwawych wyczynach największym oprawcom niemieckim, a bił każdego dla zasady, ponieważ mu to sprawiało

przyjemność. Nawet wraz ze swoim blokowym zostali swego czasu ukarani chłostą przez komendanta lagru za to, że podobno przy wymierzaniu sprawiedliwości jakiemuś Ruskowi połamali kilka żeber. Poza tym w dniu wigilijnym, gdy niemieccy kapo zorganizowali całkiem sympatycznie wieczór wigilijny połączony ze śpiewaniem kolęd i zwrócili się następnie do nas Polaków, abyśmy zaśpiewali kilka spośród znanych w świecie polskich kolęd – tenże Malinowski, usłyszawszy pierwsze dźwięki „Bóg się rodzi”, przybiegł i zakazał śpiewać, a dopiero na wyraźne oburzenie Niemców oświadczył, że on o tym nic nie chce wiedzieć, ale jeżeli już ma się śpiewać, to po cichu. Równocześnie, w tym samym czasie, wszystkie bloki obozu rozbrzmiewały polskimi kolędami.

Oдноśnie pracy w kartoflarni SS to nie była ona najgorsza. Stosunki panowały tam możliwe, gdyż pracowali tam w większości Polacy, a poza tym, chociaż nieoficjalnie, dożywialiśmy się z kuchni SS. Czasami kradliśmy po prostu całe kotły jedzenia i dzieliliśmy się nimi wspólnie. Niektórzy mieli dostęp do mleka, a nawet z magazynu niejednokrotnie znikwały konserwy, nabiał i w ogóle wszystko, co tylko było do zjedzenia. Władze kuchenne starały się temu wszelkimi sposobami zapobiec i w razie przyłapania kogoś – bezlitośnie karały, co jednak nie dawało wielkiego efektu. Szefem kuchni był SS-mann Paschke, człowiek trochę upośledzony umysłowo, który, zwłaszcza pod wpływem alkoholu, co zdarzało się to nader często, wpadał w wariacką furję i znęcał się nad każdym, kogo na swej drodze spotkał. Zdarzały się dni, że mało było takich, którzy nie zostali pobici. Mimo to jednak praca w tym komandzie mogła uchodzić za znośną. W połowie lutego całe komando przeniesione zostało do bloku 23., gdzie blokowym i *Schreiberem* byli Polacy, tym razem ludzie [w porządku] (zwłaszcza *Schreiber* Kożuch, rodem z Żywca). Oddziaływało to oczywiście na sztabowych, którzy również zachowywali się w stosunku do nas poprawnie. To była ostatnia moja praca i blok w Oświęcimiu, gdyż 9 kwietnia 1943 r. wyczytany zostałem do transportu.

Poza moimi osobistymi przeżyciami, które opisałem, przystąpię teraz do omówienia stosunków panujących wówczas w Oświęcimiu. Przede wszystkim znalazłem się tam już po generalnej dezynfekcji, która odbyła się w sierpniu 1942 r. i która w zasadzie oczyściła obóz z plagi wszy. Zdarzały się jeszcze wypadki, że znajdowano w blokach wszy, ale było to raczej sporadyczne i wówczas cały blok dezynfekowano. W blokach panowała względna czystość. Bieliznę zmieniano więźniom mniej więcej co dwa lub trzy tygodnie, a raz na tydzień odbywała się kąpiel. Ta dawała niejednokrotnie podstawę oprawcom do specjalnego dręczenia, gdyż, bez względu na porę roku, z niektórych bloków wypędzano więźniów nago i tak też po gorącej

kąpieli musiano wracać do bloku, przy czym też w niektórych blokach zakazywano brania ze sobą ręcznika. Po kąpieli ustawiano pod łaźnią wychodzących i mokrych jeszcze więźniów, zbierano i liczono ich, co trwało czasami znaczną chwilę, w czasie której oczywiście można się było łatwo poważnie przeziębnić. Wielu uciekało przed kąpielą.

W grudniu 1942 r. odbyła się znowu generalna dezynfekcja, w czasie której odebrano więźniom do odparowania na dwa lub trzy dni ich własne ubrania obozowe dając tymczasem tylko bieliznę i drelichowe ubrania. Oczywiście, że znajdowanie się w tym odzieniu w grudniu na dworze było bardzo przykre. W ogóle kwestia zimna była specjalnie dla więźniów uciążliwa, gdyż przede wszystkim bardzo późno otrzymywało się swetry, skarpety i płaszcze, a następnie na czas je odbierali, to też przede wszystkim ranne apele dawały się specjalnie we znaki. Tym bardziej, że bezpośrednio po pobudce, po szybkim ubraniu się i „zrobieniu” łóżek oraz zjedzeniu śniadania, wyrzucano wszystkich bez względu na pogodę na pole, mimo że do apelu pozostawała czasami jeszcze blisko godzina czasu. Kryli się tedy więźniowie po sieniach i piwnicach, ale i stamtąd ich wyrzucano. Płaszcze odebrano nam już 1 marca. Nic więc dziwnego, że więźniowie próbowali zastępować odzież papierem, szyje owijali ręcznikami lub jakimikolwiek dostępnymi szmatami, zakładali podwójną bieliznę itp. Było to jednak zakazane i w czasie rewizji wszystkie te rzeczy zabierano, a prócz tego więzień, u którego coś znaleziono podlegał surowym karom i był niemiłosiernie bity.

Rewizje w ogóle były plagą więźniów. Odbywały się na każdym kroku, tak w ich szafkach, w łóżkach, w których w ogóle nic nie wolno było trzymać, jak i rewizje osobiste. Więzień mógł w zasadzie mieć przy sobie jedynie chusteczkę. Scyzoryki, chociaż sprzedawano je nawet w kantynie, były w zasadzie zakazane i mogły ulec konfiskacie. Nie było ich wolno w każdym razie nosić w pracy, jak również nie wolno było nosić „palenia”, zapalek i zapalniczek. Każdy więzień miał prawo korzystać z szafki, odpowiadał jednak za jej czystość. Jeżeli zdecydował się na korzystanie z szafki, musiał na niej napisać swój numer i nazwisko. Z uwagi jednak na znaczną sposobność do szyskany w związku z szafkami, większość więźniów wolała z tego zrezygnować, gdyż nasi przełożeni doszukiwali się wszelkich pretekstów, że w szafce jest nieporządek. Żądano np. aby półki wyłożone były szklaną szybą i ozdobione serwetkami. Trzeba się więc było prywatnie u szklarzy starać o kradzione szkło i płacić za nie chlebem lub margaryną oraz kupować w tenże sposób „zorganizowane” serwetki, których w kantynie już nie można było dostać.

Drugim przedmiotem szykan było „robienie” łóżek. W zależności od bloku zwracano na nie mniejszą lub większą uwagę. Bezwzględnie wszędzie musiały być ścielone prawidłowo, gdzieś jednak dochodziło to po prostu do przesady. Bardzo często, mimo że łóżko było zupełnie dobrze „zrobione”, dopatrywali się nasi przełożeni niedbalstwa i wymierzali za to karę. Nie sposób było cały czas łóżka pilnować, skoro się szło do pracy. Twierdzenie więc, że łóżko było źle zrobione – zawsze mogło okazać się wiarygodne. Trzy razy odbywałem „sport”, czyli karne ćwiczenia za [ścielenie] łóżek, mimo że np. w bloku 23. blokowy stawiał moje łóżko za wzór.

Najgorszy w obozie był blok 11., tzw. kwarantannowy. Oddzielony od innych murem, pozbawiony okien ze strony zewnętrznej, mieścił w sobie również bunkry, czyli więzienie obozowe. Bunkry dzieliły się według rodzajów kar. I tak np. małe komórki, pozbawione światła i dostępu powietrza, bardzo niskie, przeznaczone były na odbywanie nocnej kary, stojącej. Skazany na ten tzw. *Stehbunker*, w ciągu dnia odbywał normalną pracę, na noc zaś szedł do owej komórki, gdzie zamykano go wraz z kilkoma, [tak] że całą noc nie mógł się poruszyć i musiał przebywać w pozycji zgiętej, gdyż jak wspomniałem komórki te były tak niskie, że mężczyzna średniego wzrostu nie mógł w nich normalnie stanąć. Poza tym do tego bloku 11. zabierano wszystkich, których numery odczytywano przy rannych apelach i tam odbywało się ich trawienie. Wyczytywania te zdarzały się w tym czasie przeciętnie dwa razy tygodniowo, a ilość wyczytywanych numerów bywała różna. W pamiętnym dniu 28 października 1942 r. wyczytano ok. 280 numerów i wszyscy oni zostali natychmiast straceni.

Ekzekucji dokonywał, jak mi opowiadano, „Upiór Lagru” *Hauptscharführer* Palitzsch, posługując się przy tym sprężynowym pistoletem. Odnośnie likwidacji chorych, tzn. tych, co do których nie było szans odzyskania przez nich w pełni sił do pracy, wywożono ich autami do Birkenau i tam prawdopodobnie byli truci gazem. Wybierano ich w większej części z KB, czyli ze szpitala, przede wszystkim spośród rekonwalescentów, ponadto jednak zdarzały się wypadki, że zabierano wszystkich, którzy nie udali się do pracy i pozostawali w obozie.

Podobno niektóre komanda całe były poddawane selekcjom. Śmiertelność w obozie poza wypadkami rozstrzeliwań i gazowań była znaczna, co można było codziennie obserwować, gdyż każdego dnia wieczorem wywożono zwłoki z obozu na dużym wozie drabiniastym, zakrytym celtową płachtą. Pogrzeb ten ciągniony przez więźniów był codziennym widokiem obozowym, a dźwięk skrzypiących kół tego wozu nie zniknie na pewno nigdy z pamięci więźniów.

Wszyscy więźniowie chodzili w specjalnych ubraniach w pasy biało-niebieskie. Na głowie noszono czapki bez daszków o tym samym kolorze, kapo zaś i inni zwierzchnicy używali czapek czarnych. Każdy więzień nosił na piersiach po lewej stronie oraz po prawej stronie na spodniach, na białej szmatce wydrukowany czarną barwą numer oraz trójkąt kolorowy oznaczony literą narodowości. Więźniowie polityczni nosili trójkąty czerwone, kolor zielony oznaczał przestępców kryminalnych, a ponadto tych wszystkich, którzy na całym terenie Rzeszy zostali skazani wyrokiem sądowym. Tak tedy nawet ideowi więźniowie polityczni, którzy np. na Pomorzu otrzymali wyroki sądowe za udział w wolnościowych organizacjach podziemnych, nosili również zielone trójkąty, a jeżeli, co dość często się zdarzało, karę wolnościowych odcierpieć miał dopiero po ukończeniu wojny, trójkąt skierowany był jednym kątem do góry. Kolorem różowym oznaczano przestępców przeciwko moralności, kolorem lilowym badaczy Pisma Świętego. Nadto istniał jeszcze kolor czarny, którym oznaczano więźniów umieszczonych w obozie za „sabotaż” pracy. Żydzi oznaczani byli gwiazdami składającymi się z trójkątów – jednego żółtego, a drugiego w zależności od przyczyny umieszczenia. W praktyce jednak widziało się gwiazdy żółto-czerwone. Ponadto więźniowie podejrzani o zamiar ucieczki nosili na piersiach koło numeru oraz na plecach na białym tle czerwone kółka. Wszyscy zwierzchnicy obozowi oznaczani byli opaskami na lewym ramieniu wypisanymi czarną farbą na żółtym materiale z wyjątkiem *Lagerälteste*, który na czarnym materiale wypisane miał „LA”. Również blokowi nosili opaski czarne z białym napisem numeru bloku. Pracownicy szpitalni, lekarze oraz pracownicy kuchenni nosili ubrania białe z pasami czerwonymi na plecach oraz lampasami w tym samym kolorze. Na początku 1943 r. zaczęto więźniom pracującym w komandach w pobliżu obozu dawać ubrania cywilne z namalowanymi na plecach wyraźną farbą pasami oraz z pasami na spodniach.

O ile chodzi o organizację obozu, to władza zwierzchnia spoczywała oczywiście w rękach SS. Poza tym więźniowie posiadali w pewnym stopniu samorząd. Na czele samorządu stał *Lagerältester*. Na czele każdego bloku stał blokowy z danym mu czasami do pomocy zastępcą oraz *Schreiberem*. Ponadto każda izba miała swojego sztabowego, którego obowiązkiem było pilnowanie porządku oraz rozdawanie jedzenia. Kierownikami grup pracy byli kapo. Przy każdej grupie był *Schreiber*, do obowiązków którego należało prowadzenie ewidencji pracujących oraz wszystkie sprawy pisarskie związane z wykonywaną pracą. Każda grupa pracy rozpadała się na mniejsze oddziały, na czele których stali *Vorarbeiterzy*. Niezależnie od powyższych w głównym biurze obozu, czyli w tzw. *Lagerschreibstube*

pracowali również więźniowie. Poza tym było jeszcze szereg innych funkcjonariuszy, jak np. odźwierny, *laufer*, *lagerkapo*, czyli policja lagrowa. Poza tym w każdym bloku był fryzjer, który poza funkcjami ściśle związanymi z jego fachem, żadnej innej pracy nie wykonywał. Bardzo ważnym w praktyce funkcjonariuszem był ustępowy.

W obozie była zorganizowana kantyna, w której więźniowie mogli nabywać prawie bez ograniczeń tytoń i papierosy, prawie codziennie zupeł, a także przybory pisarskie oraz artykuły toaletowe. Czasami zdarzały się też inne artykuły spożywcze jak np. coś w rodzaju wina, lemoniada, woda mineralna, syrop jadalny, a czasami również sałatka jarzynowa i ślimaki. Więźniowie płacili za te artykuły pieniędzmi nadsyłanymi z domu, które wypłacano każdemu po 30 lub 40 marek miesięcznie w bonach odcinkowych. Później, mimo że więźniowie nadal na swoje konta otrzymywali pieniądze, zaprzestano wypłat, a jedynie otrzymywali drobne kwoty w postaci premii za pracę. O ile chodzi o palenie, wolno było palić jedynie poza czasem pracy i to tylko w obozie, na polu, przyłapany na paleniu w czasie pracy lub w bloku podlegał bardzo surowym karom, które niejednokrotnie nawet kończyły się śmiercią więźnia. Na przykład adwokat Woźniakowski za palenie w izbie został tak pobity przez blokowego, że doznał złamania ręki. Jakkolwiek wolno było palić w czasie przerwy obiadowej, to jednak było zakazane posiadanie przy sobie „palenia” i w razie znalezienia takiego przy rewizji na bramie, więzień również podlegał karze.

Od połowy listopada 1942 r. zostały dozwolone paczki żywnościowe, które więźniowie mogli otrzymywać z domu. Pierwsze zarządzenie brzmiało jednak tak dziwnie i niezrozumiale, że nie wiadomo właściwie było, co można otrzymywać, mianowicie: „Więzień może otrzymywać paczki żywnościowe nie przekraczające żywnościowej racji dziennej więźnia”. W praktyce jednak w zasadzie przyjmowano paczki wszystkie i według nakazu komendanta miały być doręczane w całości. Zaraz jednak na początku, przy pierwszych przesyłkach, zaczęła się masowa kradzież paczek – kradli funkcjonariusze poczty i SS-mani. Trzeba obiektywnie przyznać, że komendant obozu, dowiedziawszy się o tym, wszczął energiczne dochodzenia, które ukończyły się rozstrzelaniem szeregu więźniów i ukaraniem winnych SS-manów, po czym w obozie oświęcimskim zaczęło się doręczanie paczek zupełnie prawidłowe.

Konfiskowano jedynie papierosy i tytoń monopolowy z uwagi na przepisy monopolowe, przy czym więzień, któremu skonfiskowano np. papierosy dostawał do podpisu zawiadomienie o konfiskacie.

9 kwietnia 1943 r. zostałem wraz ze znaczną liczbą kolegów wywołany do transportu. W nocy wyprowadzono nas wszystkich blokami na ulicę obozową, po czym kolejno udawaliśmy się do jednego z przeznaczonych do tego bloków, gdzie zabierano nam dosłownie wszystko, nawet odzież, następnie zaś nago szliśmy do łaźni, gdzie po wykąpaniu się otrzymaliśmy zupełnie nową bieliznę i ubranie. Następnie umieszczono nas wszystkich w bloku 13., skąd po dwóch dniach wyszliśmy w transporcie. W międzyczasie przechodziliśmy dokładne badanie lekarskie, w czasie którego więźniowie niezdrowi lub o jakichkolwiek ułomnościach fizycznych byli odrzucani. Ostatniego dnia nawet zatrzymano na miejscu kilkudziesięciu fachowców. W transporcie zostało 1250 osób. Dotychczas zupełnie nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy. Na drogę dano nam jeden [cały] i jedną trzecią bochenka chleba, jedną trzecią kostki margaryny i 70 dag kiełbasy. Następnie załadowano nas do wagonów, po 45 do jednego, przy czym do każdego wagonu dano po dziesięciolitrowym słoju kawy. Pozamykano okna i drzwi wagonu tak, że nie mieliśmy żadnej komunikacji z zewnątrz. Zaznaczam, że do wagonu nie wstawiono żadnego kubła.

Następnego dnia w godzinach popołudniowych posłyszeliśmy, po zatrzymaniu się pociągu, wołanie: „Mauthausen”. Zrobiło to na nas ogromnie przygnębiające wrażenie, gdyż obóz ten miał opinię znacznie cięższego od Oświęcimia. Zaraz po wyładowaniu ulegliśmy jeszcze większej depresji, dowiedziawszy się, że przeznaczeni jesteśmy do filii Mauthausen – Gusen. Nie wspominałem jeszcze, że na drogę otrzymaliśmy tylko drewniane sandały bez pięt. Po wyładowaniu, ustawieniu i obliczeniu nas, co trwało około dwie godziny, otoczeni kordonem postów, ruszyliśmy w drogę. Zaraz na wstępie zetknęliśmy się ze znacznie okrutniejszym niż dotąd traktowaniem ze strony postów. Iść w sandałach było bardzo ciężko, dlatego ludzie szli dość powoli i pozostawali z tyłu. Rozpoczęło się więc poganianie kolbami. Prowadzono nas przeszło dwie godziny, nie szczędząc w czasie drogi szturchańców i kijów. Wreszcie pod wieczór przybyliśmy do obozu, gdzie ustawiono nas na placu apelowym.

Obóz ten zrobił na nas ogromnie przykre wrażenie. Więźniowie obdarci, o bardzo marnym wyglądzie fizycznym, bardzo odbiegali zewnętrznie nawet od więźniów oświęcimskich. Najprzykrzejsze wrażenie uczyniły na nas typy przełożonych obozowych, których wygląd wskazywał na zawodowych przestępców. Wszyscy zresztą posiadali zielone winkle, a z rąk nie wypuszczali ani na chwilę batów i pałek. Po dwugodzinnym postoju na placu apelowym, po zarejestrowaniu nas i przydzieleniu nam nowych numerów, zaprowadzono nas na mniejszy dziedziniec między dwoma blokami, gdzie kazano rozebrać się do naga, a następnie

nagich przepędzono do bloku. Zaznaczam, że nie pozostawiono nam nawet chusteczki, ani szczoteczki do zębów. W Gusen otrzymałem nr 12 910. Noc przespaliśmy nago po dwu lub trzech na łóżkach, przy czym część musiała się położyć na ziemi. Nieliczne koce, w okropnym zresztą stanie, otrzymali jako podkładkę ci, co spali na podłodze, reszta spędziła noc nago, bez koców. Wieczorem otrzymaliśmy tylko odrobinę kawy, z której mogło skorzystać zaledwie kilku. Następnego dnia, a raczej jeszcze w nocy, ok. godz. 3.30 obudzono nas i wypędzono z bloku na pole. Tam nago przebyliśmy cały apel, tzn. przestaliśmy dwie godziny, po czym dopiero wróciliśmy na blok, gdzie dano nam pierwsze jedzenie w postaci pół litra zupy na dwóch. Po owym apelu bez ubrań następnego dnia 26 zachorowało na zapalenie płuc. W godzinach rannych odprowadzono nas do kąpieli, po czym rozdano nam bieliznę. Właściwie nie była to bielizna, ale poszczególne kawałki łachmanów, gdyż nikt nie mógł skompletować z tego całych kalesonów i koszuli. Podobnie przedstawiały się również rozdane po chwili ubrania.

W obozie tym pasiaki były w zasadzie rzadkością. Każdy więzień był inaczej ubrany, w jakieś stare wojskowe łachmany. Spodnie np. bywały granatowe, zeigowe, czerwone, brązowe. Marynarki również były w różnych kolorach i różnego kroju. Żadne z tych ubrań nie było w możliwym do noszenia stanie. Dużo było pochodzenia sowieckiego, z napisem „SU” na plecach. Oczywiście wszystko odpowiednio zaopatrzone w wymalowane kolorowe pasy. Na nogi otrzymaliśmy pantofle holenderskie, całe z drewna, przy czym oczywiście nikomu nie pozwolono wybierać, tylko każdy otrzymywał kolejno stojącą parę. Następnie zaprowadzono nas do innych bloków, a mianowicie nr 15 i 16. Ja dostałem się do bloku 16. Służbą blokową byli tylko blokowy Michael, Niemiec, oraz *Schreiber*, Poliński z Kalisza, Polak. Ponadto był jeszcze fryzjer Hiszpan. Umieszczono nas w tzw. kwarantannie. Bloki te były oddzielone drutem kolczastym od reszty obozu i komunikacja była zupełnie odcięta. Przełożeni blokowi również nie wychodzili z tej części obozu, ani do naszych bloków nikt z zewnątrz nie przybywał. Jedzenie dowożono do bramy tej grupy bloków, tam również odstawiano próżne kotły.

Bloki były zupełnie inaczej urządzone niż w Oświęcimiu. Były drewniane, parterowe, bardzo duże tak, że każdy pomieścił po 600 ludzi. Umywalnia i ustępy były w szopach odłączonych od bloku. Stan naszego bloku, kiedyśmy do niego przybyli był okropny. Podłogi porozbijane i zabrudzone, łóżka połamane, pozbawione desek do podtrzymywania sienników, sienniki brudne i z zabrudzoną słomą, a poza tym wiele łóżek w ogóle było ich pozbawionych. Koców również było bardzo mało. Spaliśmy więc w ten sposób, że na dolnych łóżkach spało po trzech, zaś na środkowych i górnych po dwóch. Jedzenie trochę się różniło od

oświęcimskiego, gdyż rano dostawaliśmy bardzo rzadką zupę – pół litra na dwóch, mały bochenek chleba dzielony był na trzy części.

Przez pierwsze dwa miesiące nie wychodziliśmy w ogóle do roboty w związku z kwarantanną i cały dzień przebywaliśmy na dziedzińcu przed blokiem. Do bloku, bez względu na pogodę, nie wolno było w ciągu dnia wchodzić. Dotkliwie więc dawało się nam we znaki zimno, gdyż pogoda tej wiosny była fatalna. Padały często deszcze i na ogół było zupełnie zimno. Radziliśmy sobie w ten sposób, że zbijaliśmy się grupami, liczącymi czasami nawet około stu osób, aby się w ten sposób chronić od zimna. Jedzenie otrzymywaliśmy również na polu bez względu na pogodę. Kwarantanna miała w zasadzie trwać trzy tygodnie, ale ponieważ pojawiły się wypadki tyfusu, przeto dwukrotnie ją przedłużano. Ponieważ nie mogliśmy kwarantanny opuszczać, wobec tego dla czterech kwarantannowych bloków otwarto dwa małe szpitaliki, które obsługiwały całą kwarantannę. Na każdym leżało ok. 50 chorych. Śmiertelność była dość znaczna i codziennie zdarzały się przypadki śmierci. Ponieważ nie było żadnej trupiarni, więc zwłoki zmarłych do chwili zabrania ich do krematorium leżały w umywalniach.

Jak już wyżej wspomniałem, zarząd obozu w Gusen spoczywał w rękach „zielonych” Niemców, tzn. przestępców kryminalnych. Ponieważ był to obóz dla najcięższych kryminalistów niemieckich, dlatego typy, z którymi się tam spotkaliśmy były wyrafinowanymi zbrodniarzami i nadawały ton całemu obozowi. Jakkolwiek sztabowi byli wybrani spośród Polaków przebywających w kwarantannie, to jednak bandyci wybierali sobie odpowiednie jednostki na te stanowiska. Postępowanie z nami było po prostu straszne. Starano się w ogóle o to, aby uprzykrzyć więźniom każdą chwilę. Mimo że bloki kwarantannowe były oddzielone od reszty obozu, nie wolno było pod żadnym pozorem komunikować się między blokami. Przestrzeń dziedzińca, na którym cały dzień musieliśmy przebywać była bardzo mała, tak że mowy o tym nie było, aby sześciuset ludzi mogło np. usiąść. O żadnych ławkach oczywiście nie było mowy. Przy blokach, a raczej wzdłuż całych bloków, były wąskie „mankiety” otoczone kamieniami, które z natury rzeczy zwężały przestrzeń, po której mogliśmy się poruszać. Blokowi zarządzili urządzenie tam ogródków, przy czym siadanie na kamieniach krawężnikowych uchodziło za ogromne przestępstwo. Jeżeli kogoś na tym przyłapano, znęcano się nad nim bezlitośnie. W ogóle bito nas przy każdej okazji i z byle jakiego powodu.

Położenie nasze pogarszała kwestia paczek, które wkrótce po przybyciu zaczęliśmy otrzymywać. Niemcy nie poprzestając na tym, że przy ich wydawaniu wykradali co najmniej

dwie trzecie, z zawiścią patrzyli na tych, którzy otrzymywali lepsze paczki i po prostu domagali się okupu. Na przykład wieczorem sztubowy zwraca się do nas, że blokowy pragnie czegoś wieprzowego, cebuli i słodkiego pieczywa. Ponieważ widocznie ze złożonej daniny nie był zadowolony, przeto następnego dnia na apelu staliśmy podobno nierówno, łóżka były źle posłane. Zarządzono więc „sport”, czyli karne ćwiczenia dla całego bloku, trwające aż do apelu południowego, po zjedzeniu zaś obiadu staliśmy w dalszym ciągu na polu aż do wieczora. W międzyczasie dostarczono z obozu dla więźniów koce i łyżki, których jednak blokowy przez całe tygodnie nam nie wydawał, a uczynił to dopiero na wyraźny rozkaz *Blockführera*. Łyżki te jednak znowu po kilku dniach nam odebrano, rzekomo dla oczyszczenia ich, co trwało znowu kilka tygodni.

Ponieważ nie wychodziliśmy poza kwarantannę, a więc nie mogliśmy również korzystać z łaźni, przeto urządzano nam dokładne mycie w bloku. Wyglądało to w ten sposób, że wszystkim na polu kazano rozebrać się do naga, a następnie po kilkunastu wpuszczano do umywalni, gdzie każdy kolejno przechodził pod tuszem, następnie zaś już przy kranach na tempo można było korzystać z mydła, którego pojedynczo nikomu nie dawano, po czym sztubowi zlewali nas wiadrami zimnej wody. Po wyjściu z tej „kąpieli”, oczywiście bez wycierania się, bo ręczników nie było, można się już było ubrać. W całości kąpiel taka trwała oczywiście kilka godzin. Ponieważ ubranie było złożone na polu, więc odnajdywanie własnych ubrań przez 600 ludzi napotykało na znaczne trudności. Czapki otrzymaliśmy dopiero po kilku tygodniach, a i to nie na długo, ponieważ ze zbliżającym się latem, wszystkim je odebrano. Nie tylko zimno, ale później i upał stał się bardzo dotkliwy, ponieważ nigdzie nie można się było skryć przed słońcem, gdyż niskie bloki nie rzucały wiele cienia. Więźniowie bez czapek, przebywając cały dzień na słońcu, dostawali często udaru słonecznego objawiającego się gorączką i tak znacznym opuchnięciem twarzy i głowy, że w ogóle tracali możliwość patrzenia.

W celach rzekomo porządkowych nie wolno było na noc zostawiać butów w izbie, lecz trzeba je było pozostawić na polu. Ubrania musiały być złożone w kostkę pod łóżkiem. Ponieważ nie wolno było pod żadnym pozorem podnosić pod głowę siennika, ani używać ubrania jako zagłówek, nawet spanie stawało się bardzo przykre. Po rannej pobudce, którą zresztą blokowy urządzał zawsze co najmniej pół godziny przed gongiem, w związku z wyszukiwaniem własnych ubrań pod łóżkami, dochodziło do ciągłych tarć. O znalezieniu własnych butów na polu przy takiej liczbie więźniów, nie mogło po prostu być mowy.

Pod koniec maja kwarantanna się skończyła i zaczęła się powolna rekrutacja do pracy. Przyszli jacyś więźniowie z obozu i ci klasyfikowali więźniów z kwarantanny wedle ich wyglądu zewnętrznego. Następnie spisywano zawody, dzielono więźniów na szereg grup, co w rzeczywistości okazało się jednak bez znaczenia, gdyż później *Schreiber* blokowy, gdy przyszło zapotrzebowanie na odpowiednią liczbę pracowników, wybierał po prostu ludzi według własnego upodobania. Ci, którzy mieli iść do pracy otrzymywali najlepsze w bloku ubrania, które ściągano oczywiście pozostającym. Nigdy więc nie można było być pewnym tego, co się na sobie miało. Przy każdym rannym apelu miało miejsce ściąganie ludziom spodni, czapek, butów itd. Tylko część ludzi w rzeczywistości chodziła do pracy, gdyż dla wszystkich po prostu jej brakowało. Reszta pozostawała w bloku. W międzyczasie blokowy postanowił poprawić stan bloku i oczywiście zwrócił się z tym do więźniów, twierdził, że za wszystko musi płacić dostawcom, więc każdy musi się składać. Składki ściągane były tak z paczek, które otrzymywaliśmy, jak również z naszych przydziałów kantynowych.

Kantyna była tam zupełnie inaczej zorganizowana i nie było w zasadzie otwartej kantyny, w której więźniowie mogli kupować towary za otrzymane pieniądze, lecz dwa razy w miesiącu odciągano z kont więźniów pewne kwoty, w zamian za co wydawano jednakowe dla wszystkich towary kantynowe. Najważniejsze były papierosy, których liczba za każdym razem wahała się od 30 do 150, a nadto np. papryka marynowana, woda mineralna, sałatka z kapusty i ogórków, proszki do zębów, maść na opalanie, bez względu na to, czy te rzeczy były wszystkim potrzebne. Papierosy były wyjątkowo pożądane i z tego powodu każdy wyciągał po nie rękę. Ustalano więc kontyngenty na potrzeby bloku, które rzekomo proponowano więźniom, aby ci dobrowolnie je uchwalali. Oczywiście nie było nigdy żadnego sprzeciwu. Po odciągnięciu kontyngentu np. 30 papierosów na potrzeby bloku na np. malowanie łóżek, uzupełnianie desek w łóżkach itp., co w praktyce zabierał dla siebie blokowy, *Schreiber* ściągał następnie kontyngent na przybory pisarskie, wreszcie fryzjer na ostrzenie brzytwy, wobec czego więzień otrzymawszy papierosy miał najwyżej połowę tego, co było mu przydzielone. A dalej jeszcze trzeba było dać za fatygę sztubowym, ponieważ w przeciwnym wypadku łóżko na pewno było złe „zrobione”. Codziennie wieczorem, gdy już wszyscy leżeli w łóżkach, wyczytywano numery tych łóżek, które były złe „zrobione” i wtedy zaczynała się albo zabawa „w pieska”, albo też po prostu więzień otrzymywał kilka pałek. Zabawa w „pieska” wyglądała w ten sposób, że na środku stawiano krzesło, dookoła którego więźniowie musieli raczkować w szybkim tempie, przy czym byli bezlitośnie bici pałkami i kopani.

Nasz blok ze wszystkich stron otoczony był murem, a nie drutami jak inne, ponieważ dawniej był tam podobno blok egzekucyjny dla więźniów rosyjskich i w nim odbywały się egzekucje oraz „szprycowania”, tzn. zabijania za pomocą zastrzyków z benzyny. Z jednej strony tylko, między łaźnią a blokiem, ponad murem mieliśmy widok na kamieniołom *Kastenhofen* – najgorsze miejsce pracy dla więźniów. Z daleka więc mogliśmy już wówczas przypatrzeć się jak praca tam wyglądała.

Obrazki bicia i znęcania się były na porządku dziennym, przy czym praca, jaką wykonywali więźniowie, była ogromnie ciężka. Popychano ręcznie lorki naładowane kamieniami, rozbijano ciężkimi młotami większe kamienie, znoszono kamienie na lorki i przenoszono jakieś paczki z nieznanym mi w tej chwili towarem. O tych paczkach wspominam dlatego, iż w pamięci mam obraz całego sznura więźniów niosących pod górę na ramionach owe paki, przy czym, co pewien odstęp widać było poganiaczy bijących więźniów obciążonych pakami. Widać było, który słabnie i pozostaje z tyłu. Niektórzy przewracali się, ale i tych wzmacniano pałkami. Sam mogłem przypatrzeć się temu z bliska pracując w kamieniołomie, na szczęście tylko przez trzy dni. I tak np. jeżeli lorka naładowana kamieniami wypadła z szyn, co zresztą zdarzało się dość często, więźniowie musieli ją naładowaną z powrotem na szynach ustawiać. W takich wypadkach siepacze specjalnie się znęcali. Praca w kamieniołomie była dla przeciętnego więźnia tak ciężka, że w zasadzie nikt nie był w stanie pracować tam dłużej niż trzy miesiące. Oczywiście, że i tam były lżejsze funkcje, jak np. *Borerów* (wiertaczy).

13 czerwca 1943 r. po apelu południowym wszystkim kazano udać się na główny plac apelowy, gdzie następnie wyeliminowano spośród więźniów wszystkie narodowości oprócz Polaków. Ponieważ było nas najwięcej, dlatego na placu pozostało ok. 5000 ludzi. Byliśmy ogromnie zaniepokojeni, na co się właściwie zanosz, lecz po chwili tajemnica już się wyjaśniła. Na tablicy okazano numer zbiegłego więźnia-Polaka. Tego dnia, aż do wieczora, mieliśmy karne ćwiczenia, które rozpoczęły się biegiem dookoła placu apelowego, następnie zaś przysiady i padania. Po wieczornym apelu i otrzymanej w bloku kolacji wróciliśmy na plac apelowy, gdzie staliśmy przez całą noc aż do rana, skąd, po rannym apelu, udaliśmy się bezpośrednio do pracy. Po normalnym przepracowaniu całego dnia przestaliśmy także drugą noc, tym razem jednak pozwolono nam jednak pół godziny przed ranną pobudką wrócić do bloków. Trzy dni później zwłoki zbiega znalazły się w obozie.

Innym razem zbiegł więzień rosyjski i wówczas wszyscy Rosjanie mieli kilkutygodniowe ćwiczenia karne w czasie poza pracą, a nadto zmniejszono im porcje żywnościowe o połowę na cztery tygodnie. Ta kara pozbawiła życia znaczną ilość więźniów.

W obozie Gusen ze specjalną niechęcią odnoszono się do inteligentów i na każdym kroku im dokuczano. Poza tym najbardziej prześladowani byli Rosjanie. Wypadki rozprawiania się z nimi bezpośrednio przy użyciu pałek i topienia w beczce były na porządku dziennym. To topienie w beczce nazywano „lekcją pływania”, a wyglądało to po prostu w ten sposób, że do pełnej wody beczki wsadzano więźnia głową [w dół].

Na początku czerwca, już po zakończeniu kwarantanny, stosunki jeszcze bardziej się popsuły, gdyż do bloku sprowadzili się niemieccy więźniowie – kapo, którzy objęli funkcje sztabowych. Pracą na sztabie jednak mało się zajmowali, a jedynie poprzestawali na kontroli i dręczeniu. Tym razem były to największe łotry, jakich zdołałem w obozie spotkać. Ponieważ mój sztabowy dowiedział się, że jestem prawnikiem i *Rechtsanwalt* utożsamiał z *Staatsanwalt*, czyli z prokuratorem, przeto mszcząc się widocznie za wymierzoną mu karę dożywotniego więzienia, specjalnie mnie prześladował. Wystarczy tylko powiedzieć, że chodziłem ciągle posiniaczony i zakrwawiony, przy czym zapowiadano mi, że gdy tylko pójdę do roboty, to się ze mną porachują. Niestety nazwiska owego siepacza nie pamiętam. Na szczęście jednak, dzięki *Arbeitsdienstowi*, Czechowi, adwokatowi z Pragi, który o moim losie został poinformowany, dostałem się do komando pracowników murarskich i tam było mi dość znośnie.

W czerwcu zorganizowano spośród więźniów kwarantannowych małe, doraźne komando do wyładowywania wagonów kolejowych. Wychodzili oni do roboty tylko wtedy, kiedy wagony z barakami przybywały i wówczas pracowano w największym tempie, przy czym dopuszczano się wobec więźniów największych okrucieństw. Pomijając już bicie przy pracy odbywanej ciągle biegiem, urządzano sobie takie zabawy jak wyrzucanie czapek poza *Postenkettę*, przy czym więźnia, który po czapkę poszedł, zastrzelono. W momencie wyładowywania z wagonu ostatniej części baraku pociąg ruszył ze znajdującymi się na taborach kilkoma więźniami, aby znowu móc ich poza *Postenkettą* wystrzelać. Ci jednak zorientowawszy się zdołali w biegu wyskoczyć, przy czym niektórzy dotkliwie się potłukli.

Na początku sierpnia przystąpiono do organizowania transportów. Przygotowano ich trzy. Mnie udało się znaleźć w transporcie pierwszym. Wybierano do nich według zawodów

i ja zostałem wpisany jako urzędnik. 7 sierpnia 1943 r. w 270 [więźniów] po dokładnych badaniach lekarskich, przy czym wybierano tylko najzdrowszych, wyszliśmy z Gusen i udaliśmy się do Mauthausen, gdzie jeszcze raz poddano nas gruntownym oględzinom lekarskim. Z tej liczby odstawiono jeszcze ok. 50 jako chorych. Reszta pozostała w Mauthausen dwa dni, w czasie których dano nam kompletnie nową bieliznę i ubrania. Otrzymaliśmy tam nowe numery. Otrzymałem nr 32 972. Tutaj dowiedzieliśmy się, że jedziemy do obozu fabrycznego Wiener-Neustadt. Przejazd tam całego transportu, do którego doszło jeszcze ok. 500 więźniów z Mauthausen, trwał zaledwie pół dnia, tak że już w godzinach popołudniowych byliśmy na miejscu. Obóz znajdował się tam w murowanych, jednopiętrowych budynkach przylegających do ogromnej, liczącej przeszło 300 m długości hali fabrycznej, w której mieliśmy pracować. W obozie razem z nami było ok. 1300 więźniów.

Bloki były murowane, izby bardzo duże, ale czyste, gdyż urządzenie obozowe było zupełnie nowe. Każdy otrzymał nowy siennik i zagłówek, które napchaliśmy wełną drzewną. Również dwa, otrzymane przez każdego koce, były całkiem nowe.

Po dwóch dniach przydzielono nas do pracy, zupełnie nie zwracano uwagi na fach według którego byliśmy do transportu rekrutowani. Większość więźniów została przydzielona firmom zajmującym się budowaniem i wykańczaniem hali fabrycznej. Ja pracowałem w firmie budowlanej. Z uwagi na obecność cywilnych robotników, którzy w rzeczywistości robotami kierowali, warunki pracy okazały się dość znośne. W każdym razie w czasie samej pracy szykan zasadniczo nie było.

Plagą tego obozu był dobór SS-manów, pod których kierownictwem obóz pozostawał. Sam komendant obozu *Sturmführer* Müller, typowy niemiecki degenerat, sadysta, starał się wszelkimi sposobami obrzydzić więźniom warunki bytowania. Posługiwał się przy tym trzema *Blockführerami*, których, podobno za zbyt krwawe wyczyny usunięto z Mauthausen. Za każde przewinienie w czasie pracy zgłoszone, czy to przez kapo, czy też przez SS-manów, odbywały się wieczorem egzekucje, przy czym chłostą zajmowali się sami *Blockführerzy*. Do męczącego dzieła katowania ludzi zdejmowali nawet sobie koszule i nakładali rękawiczki. Po jakichś dwóch miesiącach, prawdopodobnie na skutek interwencji cywilnych pracowników, te egzekucje ustały.

Jeśli chodzi o naszych kierowników niemieckich, byli oni również w większej części przestępcami kryminalnymi i z więźniami obchodzili się także w sposób łajdacki. Bicie

i szykany były również na porządku dziennym, przy czym groza stopniowo jednak malała. Zwłaszcza w stosunku do nas, Polaków, z uwagi na to, że element nasz w pracy był na każdym kroku faworyzowany i byliśmy wyróżniani jako najlepsi pracownicy. W przypadku odpowiedzialniejszych stanowisk w fabryce zajmowali je w większości, spośród więźniów, Polacy.

W obozie tym, w którym przebywałem trzy i pół miesiąca, dopiero w ostatnim tygodniu zezwolili mi na napisanie listu do domu, a ponieważ w międzyczasie Gusen bez żadnej adnotacji zwracał skierowane do nas przesyłki, dlatego rodziny nasze uważały nas za zmarłych. Wskutek tego tylko ci, którzy przybyli z Mauthausen otrzymywali przesyłki żywnościowe. Te jednak były w tak straszny sposób okradane przez *Lagerälteste* Lorenza i jego klikę, że zaledwie ślad tego, co więźniowie otrzymywali w paczkach, dochodził do nich w rzeczywistości.

Zaraz na trzeci dzień po naszym przybyciu miał miejsce, nieoczekiwany zresztą zupełnie i pierwszy w czasie wojny na terenie Austrii nalot. Nie sprowadzono nas w ogóle do schronu, o którego istnieniu dotychczas nic nie wiedzieliśmy i cały nalot składający się z trzech faz przebyliśmy na otwartej przestrzeni koło hali fabrycznej. Szereg pobliskich hal fabrycznych zostało już przy tym pierwszym nalocie zburzonych. Nasza, jak i sąsiednia fabryka Raxwerke (wozów pancernych) nie zostały uszkodzone. Od tego dnia widmo nalotu nie przestało nas prześladować aż do końca. Alarmy powtarzały się odtąd niemal bezustannie, nalotów zaś przeżyliśmy jeszcze trzy. Schodziliśmy wówczas do piwnic korytarzowych położonych jakieś dwa metry pod halą. Nie dawały one wielkiego zabezpieczenia, a jednak dzięki nim, większość ludzi uszła z życiem. Przy drugim nalocie bowiem jedna z bomb uderzyła w drewniany barak w pobliżu naszej hali, w którym były biura niemieckie i gdzie w schronie poniosło śmierć ok. 30 urzędników niemieckich. Również zostało rozbite mieszkanie komendanta. Przy trzecim nalocie, 2 listopada 1943 r., dwa nasze bloki zostały rozbite i hala w trzech miejscach uszkodzona, przy czym siedmiu więźniów poniosło śmierć, a kilkunastu zostało poranionych. Po tym bombardowaniu, chociaż podjęto jeszcze próby uruchomienia fabryki, jednak zniszczenia okazały się tak poważne, że wreszcie postanowiono ją zlikwidować i przenieść w inne miejsce. Nie wspominałem jeszcze, że hala ta była przeznaczona do produkcji torpedy powietrznej V3 i w wykończonej części praca była już w pełnym toku. W tej fabryce wyrabiano jedynie, przynajmniej do tego czasu, środkowe części torpedy, czyli tzw. szale (zewnętrzne metalowe powłoki).

O ile chodzi o obóz w Wiener-Neustadt [to] poza obawą nalotów i ogromnym rygorem tam panującym warunki były na ogół znośne. Przede wszystkim nie była stosowana kara bunkra, którego tam w ogóle nie było i w trakcie istnienia tego obozu, tzn. około pięciu miesięcy, nikt nie został rozstrzelany. Jedynie SS-mani odkryli między Francuzami, czy też Rosjanami, jednego Żyda i tak długo maltretowali, że wreszcie doprowadzili do jego śmierci przez powieszenie. W związku z ucieczką dwóch więźniów komendant zaczął stosować represje zbiorowe. Poza karą chłosty dla wszystkich, którzy się ze zbiegami komunikowali, odebrano nam aż do odwołania jedzenie. Na skutek jednak interwencji fabryki zarządzenie to zostało uchylone i wieczorem tego samego dnia otrzymaliśmy całe zaległe wyżywienie.

W trakcie wyjazdu z tego obozu (został on zlikwidowany 17 listopada 1943 r.) niemieccy więźniowie-kierownicy obozu odjechali do Mauthausen, reszta zaś udała się do Buchenwaldu. Podróż trwała trzy dni. W jej czasie komendant obozu, pełniący również funkcję kierownika transportu, wydał zarządzenie zakazujące podawania nam przez SS-manów wody, jak również zabronił więźniom korzystania z ciepłej strawy, którą Czerwony Krzyż był skłonny nam podawać na dworcach kolejowych. W Buchenwaldzie zatrzymaliśmy się tylko cztery dni, w czasie których otrzymaliśmy nowe numery. Ja otrzymałem nr 31 525. Ubrań nam nie zmieniano, a w czasie dezynfekcji większość potraciła, możliwe zresztą, przywiezione ze sobą obuwie.

Po czterech dniach autami towarowymi odwieziono nas do obozu Dora, w pobliżu Nordhausen w Turyngii. Była tam fabryka podziemna, jeszcze zresztą zupełnie niewykończona, a ponieważ budowanie obozu było w stadium początkowym, przeto wszystkich więźniów umieszczono pod ziemią. Bezpośrednio po przyjeździe na miejsce, mimo deszczu i przykrej jesiennej słyty, staliśmy szereg godzin w polu, gdzie nas segregowano wedle zawodów, spisywano numery i rejestrowano. Cały obóz zewnętrzny składał się zaledwie z jakiegoś bloku szpitalnego, kuchni i szeregu zbitych z desek i oblepionych gliną sześciokątnych namiotów, w których mieściły się składy obozowe. Na zewnątrz jeszcze otrzymaliśmy trochę chleba i sera, po czym wprowadzono nas do tunelu. Fabryka podziemna umieszczona była w tunelach kutych w skałę, urządzonych w ten sposób, że wzdłuż góry przebiegały dwie sztolnie długie na 1800 m, połączone między sobą 46 sztolniami poprzecznymi, a z tych większość podzielona była na dwa, względnie trzy piętra. Prócz tego była jeszcze trzecia odnoga, równoległa do dwóch głównych. Całe to podziemne miasto miało sześć wyjść na zewnątrz: u wylotów sztolni głównych, przez które biegła linia kolejowa, oraz dwa wyjścia bocznymi korytarzami. W czasie naszego przybycia dokonywano wykańczania sztolni głównej B, a nadto wiercono w dalszym

ciągu pomniejsze, poprzeczne sztolnie. W tym czasie nie było jeszcze żadnych urządzeń wentylacyjnych, ani kanalizacyjnych.

Po wprowadzeniu nas do tunelu, umieszczono nas w jednej ze sztolni bocznych, gdzie pozwolono nam usiąść na siennikach, które w znikomej zresztą ilości tam się znajdowały. Siedziało nas na sienniku mniej więcej po pięciu, o rozebraniu się, oczywiście, ani spaniu nie mogło być mowy. Około godz. 10.00 wieczorem urządzono apel i zaprowadzono nas do roboty, przy czym wszyscy zostali na razie przydzieleni do robót transportowych. Praca trwała w jednej sztychcie 12 godzin. Zmiana szycht wypadła o godz. 11.00 rano i wieczorem. Po ukończeniu pracy powróciliśmy znowu na wczorajsze miejsca z tym, że tym razem było już trochę więcej sienników, ale o kocach nie było mowy. Sienniki były ogromnie brudne i wszystkie zawilgocone, niemal leżące w wodzie, która w związku z robotami murarskimi spływała poprzez sztolnie, gdyż, jak zaznaczyłem, kanalizacji jeszcze nie było, mimo że był dopływ wody. Dlatego też wody nie wolno nam było pod żadnym pozorem używać. Więźniowie zajęci pracą w tunelu nie mieli w ogóle możliwości wychodzenia na zewnątrz, chyba wyjątkowo, żeby zaopatrzyć się w magazynie w jakąś część ubrania lub do ambulatorium lekarskiego.

Cztery sztolnie były przeznaczone na mieszkania dla więźniów i podzielono je na osiem bloków. Do spania przeznaczone były „buchty” czteropiętrowe, zbite z dyli i desek, na których poukładane były sienniki. Ponieważ sztolnie te nie mieściły wszystkich więźniów, przeto przybywające transporty przez dłuższy czas mieszkaly, tak jak i my, w sztolniach otwartych. W ciągu odpoczynku dziennego byliśmy dwa razy na dłuższy czas budzeni do otrzymywania jedzenia, które dostawało się nie w bloku, ale w komendach pracy. Na wydanie obiadu czekało się niejednokrotnie i cztery godziny. To samo było z wydawaniem chleba i porcji [dodatków]. Zupy obiadowe były w tym czasie bardzo liche, nawet w części nie zaspakajały głodu. Chleba otrzymywał więzień 50 dag, w niedzielę zaś bochen dwukilowy na trzech. Do chleba dodawano porcje w postaci 25 g margaryny oraz kiełbasy, względnie mięsa, sera lub marmolady. W piątek była tylko sama margaryna, o kilka gramów więcej.

Ponieważ praca w podziemiu była ogromnie ciężka, a przebywanie stale w przykrym i wilgotnym powietrzu w niewietrzonej sztolni bardzo dotkliwe, przeto nic dziwnego, że więźniowie opadali z sił bardzo szybko i śmiertelność była po prostu olbrzymia. Poza tym więźniowie nie mieli możliwości mycia się, gdyż wody, jak wspomniałem, w żadnym wypadku nie wolno było używać, nawet do mycia misek od jedzenia. Za branie wody z kranów, a raczej

wykradanie jej, gdyż krany były zawsze zamknięte, bito przyłapanego, jak za największe przestępstwo. Poza tym w sztolniach przeznaczonych do przebywania więźniów poza pracą, a raczej w tej części podziemia, w której się te sztolnie znajdowały, odbywały się w tym czasie roboty wiertnicze i wysadzanie dynamitem skał. Toteż panował tam wieczny huk przeszkadzający w spaniu, a powietrze było tak przepełnione pyłem, że na kilka kroków ciężko było odróżnić człowieka. Te warunki higieniczne uzupełniały jeszcze otwarte ustępy w postaci dużych kubłów rozstawionych w różnych miejscach w znacznej ilości. Przez zimę 1943/1944 przeciętny stan więźniów wahał się od 8000 do 10 000, a śmiertelność dzienna ok. 60 osób. Mimo napływu w każdym tygodniu nowego transportu, liczba więźniów nie powiększyła się.

W związku z tym, wobec małej wydajności pracy ludzi-szkieletów, zmniejszono na przestrzeni sześciu tygodni godziny pracy z dwunastu do ośmiu i podzielono pracowników na trzy szychty. Nie zmieniło to jednak [za] bardzo losu więźniów, zwłaszcza, że warunki higieniczne pozostały nadal takie same. Oczywiście zakrzewiło się robactwo i wszy tak się rozmnożyły, że po prostu garściami trzeba je było wybierać z ubrania. Dopiero z końcem zimy przystąpiono do generalnej dezynfekcji, która ten stan rzeczy trochę naprawiła.

W międzyczasie wykończono pewną ilość baraków w obozie zewnętrznym i więźniów zaczęto stopniowo tam przenosić. W połowie lutego osadzeni otrzymali 30 proc. dodatku żywnościowego za pracę podziemną i wówczas rzeczywiście wikt się znacznie poprawił. Otrzymywaliśmy bochenek chleba na trzech i prócz niezmienionych porcji (dodatków) codziennie 50 g margaryny.

Postępowanie wobec więźniów w tym pierwszym okresie było również bardzo surowe i w wielu wypadkach okrutne, gdyż początkowo niemieccy kierownicy obozu rekrutowali się w większości spośród przestępców kryminalnych. Wszystkie te warunki zaczęły ulegać powolnym zmianom na korzyść i w miarę wykończania prac budowlanych ulegały polepszeniu. W maju 1944 r. ostatnie grupy więźniów zamieszkały w obozie zewnętrznym. Wentylacja i kanalizacja zostały wykończone, praca, chociaż ciężka wykonywana już była w lepszych warunkach. Postępowanie z więźniami również się trochę poprawiło, do głosu zaczęli dochodzić więźniowie polityczni, a wszystkie te zmiany były związane z niepowodzeniami frontowymi Niemców.

Ja od początków stycznia zacząłem pracować w biurze, najpierw jako pisarz w magazynach, następnie zaś w biurze rysunkowym prowadziłem kartotekę. Na tym stanowisku pozostałem

do końca mego pobytu w Dorze. W tunelu tym mieściła się początkowo wyłącznie fabryka torped V3, tzn. torped największego typu o długości ok. 15 m, a średnicy ok. 160 cm. W kilku sztolniach mieściły się magazyny. Ponieważ fabrykacja tej torpedy, zdaje się, zaczęła zawodzić, więc w części podziemia umieszczona została fabryka samolotów Junkersa, w której jednak więźniowie nie pracowali. W lecie 1944 r. dalszą część podziemia zamieniono w fabrykę znanej torpedy V1. Firma, w której pracowaliśmy, nazywała się Mittelwerk-Sawatzki.

Obóz zewnętrzny, wobec późniejszych prac, wyglądał całkiem przyzwoicie i był nawet dla więźniów dosyć wygodny. Więźniowie mieszkali w małych blokach mogących pomieścić najwyżej do 200 osób w jednej szychcie. Zmiana szycht była w tym czasie o godz. 9.00. Ciepłą strawę otrzymywali więźniowie zawsze rano przy zmianie szycht – zmiana dzienna przed udaniem się do pracy, nocna po powrocie. W blokach były umywalnie i pełna kanalizacja. Była wprawdzie otwarta kantyna dla więźniów, z natury rzeczy jednak bardzo ograniczona, ponieważ z kont więźniów od początku 1944 r. przestano w ogóle pieniądze wypłacać, a jedynie otrzymywali oni znikome, bo sięgające zaledwie kilku marek, premie. Papierosy względnie tytoń otrzymywali więźniowie tygodniowo za opłatą, przy czym początkowo wydawały je komanda pracy, następnie zaś bloki. Kapo postępowali przy tym zawsze nieuczciwie i więźniów okradali. Odnośnie apele, których plaga dawała się więźniom tak we znaki, to początkowo w czasie, gdy wszyscy więźniowie mieszkali w tunelu, miały one miejsce tylko raz na tydzień w czasie zmiany szychty i wówczas wyprowadzano wszystkich więźniów na zewnątrz na pole, gdzie w strasznym błocie stali po szereg godzin. Z uwagi na bałagan w biurowości apele nigdy się nie zgadzały. Wobec wprowadzenia trzech szycht, apele w ogóle ustały, gdyż nie było w tym czasie żadnych przerw w pracy, nawet w niedziele i dni świąteczne. Wolne niedziele wprowadzono dopiero w czerwcu 1944 r., a i te często przepadały z uwagi na nagłą pracę, zwłaszcza przy transportach.

W obozie tym przebywali więźniowie w większej części narodowości polskiej, rosyjskiej, francuskiej, natomiast inne, wszystkie niemal narodowości europejskie, w ilości mniejszej. Część obozu była przeznaczona dla rosyjskich jeńców wojennych. Mieli oni prawo nosić własne ubrania wojskowe i włosy. Poza tym wykonywali pracę taką jak inni. Spośród więźniów włoskich większość rekrutowała się również z jeńców wojennych, których przy zakładaniu obozu przybyło 1800. Po roku jednak przy życiu pozostało ich tylko ok. 300. Poza więźniami oznaczonymi barwami byli tu jeszcze więźniowie policyjni, za przestępstwa o charakterze kryminalnym, którzy nosili na piersiach zamiast trójkąta kolorowego białą

prostokątną szmatkę z napisem „Pol”. Prócz tego w drugim okresie pojawił się nowy rodzaj więźniów tylko niemieckich, którzy mieli być sądzeni po wojnie, a nosili koło numerów dużą czarną literę „Z” na białym tle.

Paczki doręczano początkowo dosyć sumiennie, chociaż ze znacznym opóźnieniem, a to z uwagi na odległą pocztę, gdyż dla zachowania tajemnicy miejsca położenia obozu, pocztą obozową była odległa miejscowość Sangerhausen. W późniejszym czasie wyszły zarządzenia konfiskowania wszelkich artykułów spożywczych nie nadających się do natychmiastowego spożycia bez gotowania, a następnie także takich, które można było dłużej przechowywać. Kradziono więc wówczas wszystko z wyjątkiem pieczywa, które przychodziło i tak spleśniałe. Często zdarzały się wypadki, że więźniowi kwitującemu odbiór paczki wręczano mydełko owinięte papierem i przewiązane sznurkiem.

W niektórych obozach, w Gusen i w Dorze, zorganizowane były dla więźniów domy publiczne, tzw. *Puffy*, obsługiwane przez więźniarki różnych narodowości. Wstęp do takiego domu był płatny. Zaznaczam, że w środowiskach, w których przebywałem, panowała opinia, że szanujący się Polak z tego nie korzysta.

Od sierpnia 1944 r. ilość więźniów w obozie zaczęła gwałtownie wzrastać w związku ze stopniową ewakuacją obozów zagrożonych inwazją, jak również znacznymi aresztowaniami powstańców warszawskich. Transporty te przybrały jeszcze bardziej na sile w miesiącach zimowych i przychodziły w stanie opłakany. Więźniowie odbywali podróż kolejową bez jedzenia, lichu ubrani, w otwartych wagonach, toteż nic dziwnego, że po przybyciu takiego transportu, wysyłano z obozu do stacji kolejowej specjalne grupy ratownicze w celu znoszenia trupów oraz nie mogących chodzić o własnych siłach więźniów. Od lutego tego roku prześladowała nas ciągle jedna myśl, żeby i nasz obóz nie uległ ewakuacji w związku ze zbliżaniem się ofensywy zachodniej. W marcu gestapo odkryło rzekomo na terenie obozu konspirację mającą na celu opanowanie obozu na wypadek zbliżania się aliantów i w związku z tym nastąpiły ogromne aresztowania. W rezultacie powieszono 230 więźniów w większej części narodowości rosyjskiej. Wieszano ich publicznie w miejscu pracy w ten sposób, że zawieszano ich na windzie służącej do przewożenia torped, następnie zaś windę unoszono w powietrze. Wszyscy więźniowie obu sztyt pracujących pod ziemią musieli przed nimi predefilować. Część więźniów została powieszona w obozie na górze.

W obu ostatnich obozach, tzn. w obozach przemysłu wojennego, panowała taka zasada, że w związku z zachowaniem tajemnicy wojennej, zwalnianie więźniów, które się w innych obozach, mimo wszystko, od czasu do czasu zdarzało, tutaj mogło mieć miejsca. Przez cały czas mego pobytu w Dorze nie opuścił prawidłowo obozu ani jeden więzień, mimo że wiadomo nam było, iż zwolnienia kilkudziesięciu ludzi leżały w Oddziale Politycznym. Ucieczki z Dory w początkowym okresie zdarzały się bardzo często, później zaś sporadycznie, jednak od czasu do czasu się trafiały.

Pod koniec marca 1945 r. dało się już odczuć w całym obozie i fabryce podenerwowanie w związku ze zbliżającym się frontem. Ostatniego dnia marca, w Wielką Sobotę, mimo że uprzednio były zapowiedziane dwa dni przerwy świątecznej w pracy, ogłoszono przez radio fabryczne, że przez cały czas świąt praca odbywać się będzie jak zwykle w dni robocze. 1 kwietnia – w pierwszy dzień świąt Wielkanocy zeszliśmy, jak zwykle, do roboty w tunelu, jednak nie dopuszczono nas do zajęć, gdyż, jak się okazało, wszyscy pracownicy cywilni zajęci byli likwidacją fabryki. Odbywało się to przede wszystkim w ten sposób, że palono wszystkie plany, papiery i najdrobniejsze nawet zapiski.

Więźniów po pół godzinie czekania odesłano w większości do obozu, poza tymi, którzy wykonywali prace transportowe. Następnego dnia przyszliśmy do pracy, w biurze już jednak zastaliśmy tylko puste półki i stoły. Po kilku godzinach wróciliśmy z powrotem na górę. Zaczęło się mówić o ewakuacji całego obozu. 3 kwietnia wycofano z obozu kilka tysięcy więźniów, w większości Rosjan, którzy mieli być rzekomo przeniesieni do innych filialnych obozów. 4 kwietnia nie poszliśmy w ogóle do roboty i w godzinach przedpołudniowych głościami wezwano wszystkich więźniów do stawienia się z kocami i własnymi rzeczami na placu apelowym. Ogłoszono nam wymarsz, z tym że na drogę, mającą trwać trzy dni, otrzymujemy bochenek chleba i puszkę konserw. Na terenie obozu powstał niesamowity zamęt, rabowanie wszelkich składów, tak ubraniowych, jak żywnościowych, a gdy doszło do wydawania wspomnianego wyżej zaopatrzenia, część tylko zdołała je otrzymać, reszta zaś, która nie otrzymała, prawie samowolnie powróciła do bloków i zrezygnowała z transportu. Około 6000 więźniów zostało jednak w tym dniu transportem wyprowadzonych. Tego samego dnia wieczorem odbyła się na placu apelowym ponowna segregacja tych, którzy mieli udać się transportem, zaś 3000 fachowców niezbędnych w pracy miało pozostać na miejscu i dalej pracować w fabryce. Ja należałem do tej właśnie grupy.

Następnego dnia zeszliśmy rzeczywiście do tunelu, pracy jednak żadnej nie było. Obecnych zatrudniano trochę przy oczyszczaniu sztolni B, aby umożliwić przejazd automobilom. W godzinach południowych komenda wezwała wszystkich więźniów do obozu i, mimo sprzeciwu dyrekcji fabryki, wyprowadzono nas na górę, zatrzymując wszystkich więźniów narodowości niemieckiej, którzy w tunelu pozostali. Po powrocie do obozu nie wpuszczono nas już do bloków, lecz od razu poczęto formować transport na placu apelowym. Reszta obozu już została ewakuowana, poza komandami ściśle obozowymi – kuchnią, rewirem i strażą pożarną. Zapomniałem jeszcze dodać, że w związku z zamierzoną już uprzednio ewakuacją przygotowano tajne komando składające się z prominentów niemieckich, które to komando, jak się później okazało, liczące 110 [osób] miało trzymać straż w czasie transportu. W momencie zarządzenia transportu otrzymali oni białe opaski na ręce, a niektórzy nawet broń. Po sformowaniu transportu, po jakichś dwóch godzinach, wyprowadzono nas z obozu do stacji kolejowej.

W tym czasie byliśmy świadkami ostatecznego niszczenia ważniejszego sprzętu. W pobliżu wejścia do podziemia, na torach kolejowych dziesiątki wagonów pooblewanych ropą płonęło. Poza tym pobliskie miasto Nordhausen, od kilku dni bombardowane, z odległości świeciło łuną. Załadowano nas następnie po stu na jeden mały odkryty wagon kolejowy i już w wagonach otrzymaliśmy po bochenku chleba i jednej puszcze konserw. Okazało się jednak, że pożywienia tego jest za mało i szereg wagonów w ogóle go nie otrzymał, mimo że żywność przygotowana była dla wszystkich. Przyczyną tego było to, że komando 110 musiało się lepiej na drogę zaopatrzyć. Zaopatrzenie nasze miało nam starczyć na trzy dni. Ponieważ zaczęło lekko padać, przeto wagony otwarte przykryto celtowymi płachtami, pozbawiając nas tym, nie tylko światła, ale przede wszystkim powietrza. Celta spoczywał na naszych głowach, gdyż oczywiście wszyscy musieli stać. Później powiększyliśmy sobie przestrzeń w ten sposób, że za pomocą desek, znalezionych na stacji, a układanych na krawędziach wagonów, dobudowaliśmy pięterko. Transport liczył ok. 3500 osób. Późnym wieczorem pociąg ruszył wreszcie z miejsca. Podróż trwała dwa dni, przy czym pociąg zatrzymywał się często na szereg godzin, wracał z powrotem, także wreszcie trzeciego dnia byliśmy oddaleni od miejsca wyjazdu zaledwie [o] ok. 40 km. Jak się okazało, linie kolejowe były już przez wojska amerykańskie poodcinane. Wysadzono nas, w nieznanej mi z nazwy miejscowości i tam zapowiedziano dwudziestokilometrowy marsz pieszo. Ci, którzy nie czuli się na siłach, mogli się zgłosić. Takich było kilkudziesięciu, co się z nimi stało, nie wiem.

Marsz początkowo był zupełnie spokojny przez bardzo ładne okolice gór harcyńskich [Harzu]. Około południa odczuliśmy pewne zdenerwowanie i ku naszemu zdziwieniu zmieniliśmy kierunek, przy czym szybkość marszu gwałtownie się zwiększyła. Kilka razy zatrzymywano nas, po czym, po jakichś długich wywiadach i konferencjach, udaliśmy się w dalszą drogę, ale znowu w innym kierunku, niż ten, o którym była mowa. Wreszcie weszliśmy w wąwóz, prowadzący do miasta Ocker. Na tej trasie marsz był okropnie szybki, utrudniony ciągłym przejazdem wojsk, tanków niemieckich, przygotowywaniem *panzerfaustów*, a poza tym przy ciągłym akompaniamencie detonacji artyleryjskich i lotniczych. Słabnących więźniów i nie mogących dalej iść zabijano bez ogródek i w ciągu drogi na każdym kroku napotykaliliśmy na zwłoki w pasiastych ubraniach. Ostatnia część drogi wypadła już w kompletnych ciemnościach nocnych, w zalesionej okolicy. Tak dotarliśmy do stacji kolejowej w mieście Ocker, gdzie bez dłuższego zatrzymywania kazano nam ładować się do pociągu. Ponieważ ładowanie to, tak jak i droga ostatnia, odbywało się w kompletnej ciemności, przeto dawało to okazję do łatwej ucieczki, z czego też wielka liczba więźniów skorzystała. Los zbiegów jest nam jednak niewiadomy.

Rozpoczęła się podróż kolejowa trwająca sześć dni, w wagonach, tym razem krytych, w liczbie co najmniej stu ludzi w małym wozie. Jedzenia oczywiście nie otrzymaliśmy żadnego. Zaznaczam jeszcze, że w czasie opisanego marszu, widocznie na skutek zarządzeń władz niemieckich, ludność odmawiała nam podania wody. W czasie tej, sześć dni trwającej, podróży bardzo wielka liczba więźniów zmarła z głodu i wycieńczenia. Zwłoki wyrzucano do ostatnich wozów. Po przybyciu na miejsce zapełniono nimi dwa wagony. Podróż miała dosyć dziwny charakter, gdyż, zdaje się, nie miała określonego celu i do tych samych miejscowości wracaliśmy nieraz kilkakrotnie. W Magdeburgu byliśmy trzy razy, w Nauen cztery razy. Miało się takie wrażenie, jakby transport nasz umyślnie stawiano na zagrożonych lotniczo miejscach, aby w ten sposób pozbyć się niepotrzebnego balastu, tak np. w czasie pełnego alarmu lotniczego na Wittenbergę pozostawiono nasz pociąg na moście na Elbie przylegającym bezpośrednio do dworca kolejowego.

Po sześciu dniach dobiliśmy wreszcie do obozu w Ravensbrück. Tam pozostaliśmy około dwa tygodnie, przy czym tylko część więźniów zabierano na roboty przy kopaniu rowów. Jedzenie w Ravensbrück było okropne, gdyż otrzymywaliśmy mały kawałek chleba na siedem względnie osiem osób, trzy razy dostaliśmy do tego trochę margaryny, a prócz tego pół litra zupy z suszonej jarzyny, której w każdej zupie było najwyżej dwie łyżki. Tu jednak wydano

nam po raz pierwszy paczki amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Były to paczki trzykilowe i tak spożywczo treściwe, że można śmiało powiedzieć uratowały one życie większości więźniów. Otrzymaliśmy je dwa razy, przy czym za każdym razem brakowało ich znacznej ilości, np. więźniowie na rewirze otrzymywali jedną paczkę na siedmiu. Zarząd obozu wydawał tyle paczek, ilu było więźniów, ale komando 110 z białymi opaskami potrzebowało lepszego zaopatrzenia. Po dwóch tygodniach udaliśmy się w dalszy transport w związku ze zbliżaniem się frontu wschodniego. Na drogę otrzymaliśmy większą paczkę amerykańską na dwóch i pół bochenka chleba, z tym, że dla ostatnich znowu zabrakło, i my [jako] reszta otrzymaliśmy paczkę już na trzech i ćwiartkę chleba. Chorych więźniów przewieziono gdzieś autami.

Bezpośrednio po opuszczeniu Ravensbrück, który opuszczaliśmy w grupach po 500, rygor transportowy kompletnie się rozluźnił. Nasi strażnicy przestali na nas w ogóle zwracać uwagę, po kilku godzinach każdy w zasadzie mógł robić, co mu się podobało. Duża ilość więźniów od razu tego pierwszego dnia „ulotniła się”. Zachowanie niemieckiej ludności miejscowej było wobec nas już zupełnie życzliwe. Jeżeli więźniowie posuwali się, mimo wszystko, naprzód, to na skutek przyjaznych ostrzeżeń naszych strażników, że za wycofującym się wojskiem posuwają się formacje SD, które oczyszczają teren i mają nakaz rozstrzeliwać wszystkich napotkanych cudzoziemców. Po drodze napotykalismy masę transportów, tak męskich, jak i żeńskich, które w zasadzie odbywały potem podróż wspólnie, grupami. Zezwalano nam już w tym czasie korzystać z ziemniaków zakopcowanych na polach. Tylko przy przejściu przez miasteczka zbierano przechodzących więźniów w grupy i przeprowadzano ich na drugą stronę miasta, po czym powracała dawna swoboda. Dwie noce nasza grupa przespała w stodole, trzecią zaś w polu. Czwartego dnia przybyliśmy do miejscowości Malhoff [Malchow], a dowiedziawszy się o znajdującym się tam małym obozie, udaliśmy się do niego. Obóz ten zmienił się w hotel, gdyż więźniowie, bynajmniej do tego nie zmuszani, sami pojedynczo się do niego zgłaszali. Nic więc dziwnego, że mały ten zresztą obozisk był ogromnie przeładowany. Dali nam tam trochę rozpaczliwej w smaku zupy z surowej i nieosolonej brukwi i po kawałku chleba z margaryną.

Następnego jednak dnia znowu zarządzono dalszy transport. Tym razem wychodziliśmy grupami po 300 osób, otrzymawszy na drogę po dwie paczki francuskiego Czerwonego Krzyża na pięć osób. Transport ten, ku naszemu olbrzymiemu zdziwieniu, od samego początku miał charakter rygorystyczny i byliśmy bardzo solidnie obstawieni strażnikami. Pochód był szybki, przy czym znowu zdarzały się wypadki zastrzelenia słabych,

a zatrzymujących się popędzano kolbami i grożono rewolwerami. Odgłosy walk posuwały się bezpośrednio za nami. Marsz trwał trzy dni, przy czym noce spędziliśmy w lesie, pod gołym niebem. 3 maja bezpośrednio po pobudce ранней, gdy udaliśmy się w drogę, dowiedzieliśmy się, że z drugiej strony od zachodu, w niedalekiej już odległości, są wojska amerykańskie. Zapanował w grupie ogromny entuzjazm, zwłaszcza, że był to przecież dzień najmiłszego sercu polskiemu święta narodowego.

Na początku miasta Parchim zauważyliśmy między zebraną w znacznej ilości ludnością cywilną dziwne podniecenie i zaczęło się już coraz wyraźniej mówić o znajdujących się w okolicy wojskach amerykańskich. W tym czasie nad naszymi głowami bardzo nisko przeleciał samolot amerykański bez żadnego zainteresowania się nim armii niemieckiej, mimo że przecież były na miejscu i karabiny maszynowe, a nawet i działka. Bezpośrednio później posłyszeliśmy jakieś okrzyki i ku naszemu największemu zdziwieniu zobaczyliśmy dwa osobowe auta amerykańskie, a w każdym siedziało zaledwie po cztery osoby nieprzygotowane do walki. Żołnierze ci na okrzyki odpowiadali ukłonami, a zauważywszy nas, więźniów polskich, odsalutowali nam dwoma palcami. Auta te po chwili zawróciły i odjechały z powrotem. Ta obecność wojsk amerykańskich, przy równoczesnym znajdowaniu się jeszcze nierozbrojonego wojska niemieckiego, była dla nas zupełnie niezrozumiała, tym bardziej, że asysta postów ciągle nam towarzyszyła. Z drugiej strony miasta w rzadkim lasku zarządzono odpoczynek. W czasie tego postoju przejechały znowu dwa czy trzy tanki amerykańskie, które zawracając rozbrajały napotkanych tylko po drodze Niemców, po czym dość szybko odjechały z powrotem. Nie zwracając uwagi na postów nam towarzyszących ja i pięciu kolegów podążyliśmy naprzód, ledwo jednak doszliśmy do drogi, posłyszeliśmy warkot motorów, po czym detonację artyleryjską. Okazało się, że z prawej strony drogi w lesie ukazały się tanki sowieckie. Na drodze powstał w tym momencie niesłychany popłoch i zator pojazdów konnych, motorowych, uciekającego wojska i ludności cywilnej, która poczęła odrzucać swoje rzeczy i pędem już biec naprzód. Bojąc się znaleźć w miejscu walki przedarliśmy się na drugą stronę drogi i następnie polami udaliśmy się do następnej wsi. Tam nie zastaliśmy żadnego wojska, zatrzymaliśmy się na noc i spaliśmy w barakach przeznaczonych dla więźniów wojennych. Następnego dnia rano dowiedzieliśmy się, że w okolicy są już wojska sowieckie. Pierwszy napotkany przeze mnie sowiecki żołnierz, oficer na koniu, zapytał mnie po polsku: „Co pan tu robi?”, a dowiedziawszy się, że jestem więźniem z obozu, polecił nam wracać spokojnie do domu. Rozpocząłem tedy z przyjaciółmi drogę

powrotną do domu, częściowo pieszo, częściowo zaś podwożony, a po przekroczeniu Odry – koleją. 15 czerwca powróciłem do Krakowa.

W trakcie zeznań zapomniałem jeszcze podać jednej charakterystycznej rzeczy dla obozu w Gusen, Mauthausen, Wiener-Neustadt i początkowo Dory. A mianowicie, że więźniom dla odróżnienia ich od „cywilistów” wycinano na głowie, a raczej wystrzygano linię, względnie pas, szerokości maszynki do strzyżenia, od czoła aż do karku. Gdy inne włosy trzeba było zestrzyć, włosy w pasie pozostawiano w kształcie grzebienia koguciego. W Dorze odstąpiono następnie od tego na wyraźne życzenie pracowników cywilnych. W późniejszym czasie Dory zasłużeni starsi więźniowie mogli na prośbę otrzymywać indywidualne zezwolenia na noszenie włosów.

Przejrzawszy cały protokół dochodzę do przekonania, że wypada on absolutnie błado i nie jest w stanie ani w części oddać grozy i beznadziejności w jakiej się znajdowaliśmy.

Na tym protokół zakończono i po przeczytaniu podpisano.